Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

CIVITATIS GEMMA · PAX

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok X. Warszawa, 28 listopada 1954 r. Nr 48 (460)

WEZWANIE

Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego

Do robotników i chłopów, pracowników umysłowych i rzemieślników do kobiet i młodzieży do wszystkich obywateli Polski Ludowej

Zbliża się 5 grudnia — dzień wyborów do rad narodowych.

W dniu tym naród powoła do życia nowe organy władzy ludowej. Od wielu tygodni przez cały nasz kraj, przez miasta i wsie przechodzi fala zebrań wyborczych. Miliony robotników i chłopów, szerokie rzesze pracowników umysłowych i rzemieślników — mężczyzn, kobiet i młodzieży, na dziesiątkach tysięcy zebrań mówią o tym, jak wiele zmieniło się na lepsze w gromadach, miastach, powiatach i województwach, w całym naszym kraju. Miliony ludzi pracy mówią również o tym, co jeszcze złe, co utrudnia ludziom życie i pracę, co ich boli. Miliony obywateli naradzają się nad tym, co trzeba robić, żeby było lepiej człowiekowi pracy w jego gromadzie, dzielnicy, powiecie, w jego państwie.

Z tych myśli, rozważań i narad powstaje jeden wielki program — program wyborczy Frontu Narodowego.

Na zebraniach wyborcy oceniają pracę starych Rad, podkreślają ich dorobek, a częściej jeszcze krytykują braki i zaniedbania, wysuwając wiele słusznych i sprawiedliwych życzeń i żądań wobec nowych Rad.

Ocena i opinia najszerszych rzesz społeczeństwa decydowała o tym, kto ma kandydować. Na licznych zebraniach wyborców wśród ożywionych dyskusji, a często i sporów zastanawiano się nad każdą kandydaturą, zatwierdzono najlepszych kandydatów zgłoszonych przez organizacje społeczne lub bezpośrednio przez uczestników zebrań.

Naród radzi razem ze swymi kandydatami, jak lepiej rządzić i gospodarować, gdyż wie, że wybiera organy swojej, ludowej władzy i że będą one spełniały jego wolę.

Spotkania i rozmowy wyborców z kandydatami nie zawierają czczych obietnic. Są one zawiązkiem stałej współpracy pomiędzy ludnością a Radami Narodowymi. Taka współpraca i kontrola mas — to najbardziej skuteczny środek zwalczania biurokratyzmu, to nieodzowny warunek spełniania przez Rady słusznych żądań i postulatów wyborców. Lud — klasa robotnicza, chłopi, inteligencja — coraz bardziej masowo, coraz bardziej bezpośrednio bierze czynny udział w rządzeniu krajem. W kampanii wyborczej setki tysięcy obywateli z nową siłą poczuły swoją rosnącą współodpowiedzialność za pracę organów władzy, za działalność Rad Narodowych. **Na tym realnym współudziale w rządzeniu i współodpowiedzialności za państwo polega prawdziwa demokracja — demokracja ludowa.**

Jakże inaczej wyglądały wszystkie wybory w Polsce przedwrześniowej, jakże inaczej wyglądają one w osławionych „demokracjach" zachodnich — wszędzie, gdzie rządzą kapitaliści i obszarnicy. Tam lud nie ma wpływu na to, kto kandyduje. Cała machina państwowa pracuje nad tym, aby kandydatów ludu utrącić. Listy kandydatów układane są w zaciszu gabinetów, z dala od ludu. Fabrykanci, bankierzy, obszarnicy i kułacy, krzykacze wiecowi i politykierzy ubiegający się o mandaty przychodzą na zgromadzenia wyborców tylko po to, aby im obiecywać złote góry i zdobywać ich głosy.

U nas w Polsce Ludowej kandydatami są synowie ludu, są ludzie wyróżniający się w pracy, ci, których naród uważa za najlepszych, najbardziej godnych zaufania. Robotnicy od warsztatu. Chłopi od pługa. Nauczyciele i lekarze. Inżynierowie i uczeni. Pisarze i artyści. Działacze społeczni i gospodarczy. Kobiety i młodzież.

Kandydatami są członkowie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego i w wielkiej liczbie bezpartyjni. Są działacze związków zawodowych i ZMP, działacze katoliccy — duchowni i świeccy. Działacze Związku Samopomocy Chłopskiej i aktywiści Ligi Kobiet.

230 tysięcy przedstawicieli ludu pracować będzie w nowych Radach Narodowych.

Czego od nich żąda naród? Co zawiera program Frontu Narodowego?

Jest to program walki o wzrost dobrobytu i kultury społeczeństwa, o rozkwit naszych miast i wsi.

Jest to program walki o wzrost siły naszego państwa i znaczenia Polski w świecie, o umocnienie naszej niepodległości, o pokój i współpracę między narodami.

Jest to program rozwoju całej gospodarki narodowej, a w szczególności rozwoju rolnictwa. Wyborcy żądają od Rad Narodowych dobrego kierowania rolnictwem, pomocy w zaopatrzeniu chłopów w maszyny, nawozy, doborowe nasiona, w kredyt rolniczy, przeprowadzenia melioracji łąk, lepszego kierowania ośrodkami maszynowymi. Żądają należytego

(dokończenie na str. 2)

PRZEMÓWIENIE

Przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego BOLESŁAWA BIERUTA

W dniu 20 bm. odbyło się w Warszawie plenarne posiedzenie Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego, poświęcone sprawie wyborów do Rad Narodowych. Obradom przewodniczył Bolesław Bierut.

Poniżej podajemy tekst przemówienia Bolesława Bieruta, wygłoszonego na zakończenie obrad.

Z wniosków i uwag wypowiedzianych w dyskusji wynika, że najbliższy okres akcji wyborczej winniśmy przekształcić w wielką kampanię polityczno-masową, ogarniając jej zasięgiem wielomilionowe masy pracujące miast i wsi. Obecna akcja wyborcza sprzyja bardziej niż kiedykolwiek podniesieniu aktywności mas chłopskich w związku z wyborami do rad gromadzkich. Zadania Frontu Narodowego są w tej kampanii szczególnie wielkie i poważne. Podnieść najszersze masy naszego narodu — w tym wielomilionowe masy bezpartyjnych robotników i chłopów, inteligencji pracującej, kobiet i młodzieży — na wyższy poziom świadomości i aktywności społecznej, pobudzić wśród nich najgłębsze uczucia patriotyzmu, ofiarności, zapału, wytrwałości w pracy nad budownictwem nowego życia i nad dalszym umacnianiem sił naszego państwa ludowego — takie jest główne zadanie tej kampanii.

Akcja wyborcza winna przyczynić się do ożywienia i uaktywnienia działalności różnych ogniw i organów Frontu Narodowego w dalszej codziennej, stałej pracy nad realizacją naszych zadań społecznych, gospodarczych i kulturalnych. Zarówno powoływane obecnie nowe rady gromadzkie, jak i wszystkie wyłonione w powszechnych wyborach rady miejskie, dzielnicowe, powiatowe i wojewódzkie muszą stać się ośrodkami żywej i twórczej inicjatywy społecznej.

W jakim kierunku i dookoła jakich spraw winna rozwijać się ta inicjatywa i aktywność? Winna ona być skierowana przede wszystkim na usunięcie istniejących braków i trudności, licznych wypaczeń biurokratycznych i niedomagań, które ciążą jeszcze na pracy wielu naszych organów państwowych i społecznych. Żywa, codzienna, sprawna kontrola rad i ich komisji społecznych nad działalnością poszczególnych ogniw aparatu państwowego oraz stała i rzeczywista więź rad z masami pracującymi stanowi najskuteczniejszy środek w walce z biurokratycznymi wynaturzeniami, tak często jeszcze zatruwającymi życie ludzi pracy. Wypróbowanym i niezawodnym orężem w tej walce jest śmiała krytyka braków, niedomagań i wypaczeń. W tej dziedzinie jak również w akcji pobudzenia aktywności i inicjatywy społecznej wokół rad terenowych, otaczania działalności tych rad zainteresowaniem szerokich warstw ludności pracującej — Komitety Frontu Narodowego mają poważne zadania i mogą znaleźć szerokie pole działania.

Najbliższe dwa tygodnie, jakie pozostają jeszcze do dnia wyborów winny być wykorzystane dla jak najintensywniejszej akcji propagandowej, agitacyjnej i organizacyjnej. Należy wykorzystać rosnącą aktywność i zainteresowanie mas wyborami w kierunku powiązania tego zainteresowania zarówno z naszymi ogólnymi zadaniami programowymi jak i z aktualną oceną naszej sytuacji wewnętrznej oraz zagadnień międzynarodowych. Niech w okresie wyborów rozwinie się i umocni szerokie współzawodnictwo socjalistyczne o zwycięskie zakończenie 5-tego roku Planu Sześcioletniego. Niech szczególny nacisk położony zostanie zwłaszcza na obniżenie kosztów własnych produkcji i podniesienie jej jakości, tj. w dziedzinie, gdzie mamy jeszcze bardzo wiele braków. Niech szczególny wysiłek zostanie włożony w zakończenie orek zimowych i objęcie nimi nowych obszarów gruntów leżących odłogiem. Niech wzmaga się walka o rozwijanie skupu artykułów rolnych oraz o pełne uregulowanie zobowiązań wsi wobec państwa zarówno w dostawach obowiązkowych jak i świadczeniach finansowych.

Obywatele!

Musimy wzbudzić wśród mas przekonanie, że naród zjednoczony, zwarty i świadomy swych celów, widzący jasno drogę, po której kroczy — staje się potężny i niepokonany. Naród nasz ma dziś wszystkie warunki, aby szybciej jeszcze niż dotąd pomnażać swe siły wytwórcze i zwiększać swój

(dokończenie na str. 2)

Z inauguracji Akademii Teologii Katolickiej

PATRZ: STR. 3
ROZMOWA Z
KS. REKTOREM J. CZUJEM

Ks. Seweryn Kowalski, Ks. Jan Czuj, Ks. Tadeusz Kruszyński

Imatrykulacja nowowstępujących studentów

MICHAŁ NOWACKI

PRZED POWAŻNYMI DECYZJAMI

JUŻ z górą 5 lat toczy się walka o zażegnanie niebezpieczeństwa odrodzenia się militaryzmu niemieckiego.

Od czasu zawarcia Paktu Atlantyckiego koła rządzące Stanów Zjednoczonych konsekwentnie dążą do objęcia nim, jeżeli już nie całych Niemiec, to przynajmniej separatystycznego państwa bońskiego, aby wskrzeszony Wehrmacht stał się szturmowym oddziałem imperializmu w wojnie z obozem pokoju i demokracji.

Powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej przekreśliło nadzieje na oddanie całych Niemiec w ręce związanych ze Stanami Zjednoczonymi odwetowców. Z tym większym uporem i zaciekłością politycy amerykańscy stawiają na reżim adenauerowski w Niemczech zachodnich, który wiąże zbrojenia z nadzieją zrealizowania zaborczych planów junkrów i monopolistów. Tym należy tłumaczyć uniemożliwianie przez okupantów zachodnich wszelkich planów zjednoczenia Niemiec, które by dopuściły do głosu masy ludowe, pragnące wolności i pokojowego rozwoju.

W ten sposób problem narodowego zjednoczenia Niemiec wiąże się jak najściślej z problemem bezpieczeństwa Europy. Bez wolnych pokojowych i demokratycznych Niemiec wisieć będzie zawsze nad narodami Europy groźba, że militaryzm niemiecki raz jeszcze, jak w 1914 i 1939 roku, wykorzystany zostanie przez imperializm dla realizowania planów podboju i zachłannej ekspansji.

Dostatecznie znane są poszczególne etapy polityki kół imperialistycznych, przede wszystkim rządu Stanów Zjednoczonych, które wykorzystując warunki okupacji wojskowej narzuciły w Niemczech zachodnich rządy reakcji i poprzez różne oszukańcze koncepcje „Europejskiej Wspólnoty Obronnej", „Federacji Europejskiej" czy „Unii Zachodnio-Europejskiej", starają się ulegalizować uzbrojenie swego pupila bońskiego. Znane są również konsekwentne wysiłki Związku Radzieckiego i państw demokracji ludowej, wysiłki mające na celu wprowadzenie w życie postanowień Konferencji Poczdamskiej o demokratyzacji i demilitaryzacji Niemiec oraz stworzenie ogólno-europejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego, który by dał praktyczną możność urzeczywistnienia aspiracji ludu niemieckiego do zjednoczenia narodowego. Starania te znajdowały zawsze pełne zrozumienie i poparcie ze strony mas ludowych państw europejskich zagrożonych ewentualnym odrodzeniem się militaryzmu niemieckiego.

Dzisiaj, po przeforsowaniu przez dyplomację amerykańską uchwał londyńskich i paryskich, zagadnienie to dochodzi do punktu krytycznego. Jeżeli w bliskim czasie nastąpi ratyfikacja tych układów, wskrzeszenie Wehrmachtu stanie się już w roku przyszłym faktem dokonanym, ze wszystkimi konsekwencjami dla polityki międzynarodowej.

Nic więc dziwnego, że rząd radziecki, po odpowiednim naradzeniu się z rządami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Republiki Czechosłowackiej, zwrócił się raz jeszcze z wezwaniem odbycia w najbliższym czasie konferencji międzynarodowej, która by załatwiła sprawę bezpieczeństwa europejskiego. Realnie możliwe uzgodnienie tej sprawy otworzyłoby drogę do pokojowego zjednoczenia Niemiec, a więc i do dalszego odprężenia w sytuacji międzynarodowej.

Komentarze prasy radzieckiej nie ukrywają bynajmniej, iż jest to ostatnia możliwość zapobieżenia faktom, które by zaciążyły na całej sytuacji międzynarodowej. Remilitaryzacja Niemiec zachodnich i włączenie ich do agresywnego Paktu Atlantyckiego nie może nie pociągnąć za sobą wzmożenia wyścigu zbrojeń i znacznego zwiększenia ciężarów wydatków wojskowych.

Państwa zainteresowane będą musiały zastanowić się nad środkami, które trzeba będzie w takim wypadku podjąć dla zapewnienia swego bezpieczeństwa. Nie należy bowiem zapominać, że tworzenie ugrupowań militarnych obejmujących szereg państw przeciwstawiających się innych państwom, doprowadziło już wielokrotnie do bardzo poważnych komplikacji międzynarodowych, które stwarzają bezpośrednie niebezpieczeństwo wojny, a więc niosą groźbę największych klęsk dla ludzkości.

Jak słusznie zauważyły w związku z tą sprawą „Izwiestia" z 16 listopada br. — adresaci noty radzieckiej powinni pamiętać, że wszelkie działanie powoduje kontrakcję, toteż urzeczywistnienie planów remilitaryzacji Niemiec zachodnich może wywołać konieczność stworzenia sojuszu obronnego państw przeciwstawiających się niebezpieczeństwu agresywnych zakusów sił imperialistycznych. Odrzucenie jedynej drogi, która prowadzi do zapewnienia bezpieczeństwa europejskiego przyczynia się do powstania dwóch przeciwstawnych bloków, co bez wątpienia pogorszy sytuację światową.

Związek Radziecki zawsze głosił możliwość współistnienia i współpracy państw o odmiennej strukturze społeczno - gospodarczej. Starał się on i stara się nadal ugruntować politykę pokojowego współżycia na arenie światowej, politykę, która by była korzystna dla wszystkich zainteresowanych stron i wzmacniała więzy przyjaźni pomiędzy poszczególnymi narodami. Uprzedzenie o ewentualności zaostrzenia się sytuacji międzynarodowej w wyniku przejścia do porządku dziennego nad sprawą bezpieczeństwa ogólnoeuropejskiego nie jest wcale wyrzeczeniem się tej zasady, lecz zwróceniem uwagi na dodatkowe trudności stworzone przez autorów planu remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

Spokojne, ale stanowcze słowa Związku Radzieckiego wywarły głębokie wrażenie na narodach Europy i całego świata. Chcąc osłabić to wrażenie i przygotować opinię społeczną do odrzucenia noty radzieckiej, koła imperialistyczne chwytają się wszelkich możliwych tricków propagandowych. Ulubionym argumentem jest oszukańczy frazes „defensywy": „Umocnijmy blok zachodni, a wtedy dopiero będziemy mogli rozmawiać z blokiem wschodnim".

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że obóz pokoju i demokracji nie zamierza napadać na kogokolwiek, koncentrując swe wysiłki na podnoszeniu poziomu życia swej ludności. Należy jednak zaznaczyć, co już poprzednio podkreśliliśmy, że stworzenie faktów dokonanych w dziedzinie uzbrojenia państwa bońskiego uniemożliwi w praktyce wszelkie pokojowe zjednoczenie Niemiec, a więc spełnienie jednego z podstawowych warunków stabilizacji sytuacji europejskiej.

Twierdzenie: „najpierw zbrojenia a potem rokowania" ujawnia najlepiej, że imperialiści rozumieją zjednoczenie Niemiec jedynie jako inkorporację NRD przez militarystyczne państwo bońskie i że ewentualne rokowania chcą prowadzić z „pozycji siły", to jest w formie narzucania swej woli miłującym pokój państwom. Ma to być uderzenie w stół uzbrojoną pięścią. Głosiciele tej tezy zapominają jednak, iż narody obozu pokoju i demokracji stanowią dziś potęgę, z którą każdy musi się liczyć.

Naród polski wie, że to uderzenie pięścią w stół ma przede wszystkim poprzeć zakusy odwetowców zachodnio-niemieckich w stosunku do naszych ziem nad Odrą i Nysą, toteż wszyscy patrioci polscy podpisują się całkowicie pod oświadczeniem rządu PRL z 17 listopada br., w którym czytamy między innymi:

„Jest rzeczą jasną, że gdyby wskutek ratyfikacji układów paryskich plany wskrzeszenia militaryzmu niemieckiego weszły w fazę realizacji, Rząd PRL byłby zmuszony rozważyć w porozumieniu z innymi rządami przedsięwzięcie środków zmierzających do umocnienia swej obrony i bezpieczeństwa".

Michał Nowacki

WEZWANIE OGÓLNOPOLSKIEGO KOMITETU FRONTU NARODOWEGO

(Dokończenie ze str. 1)

organizowania pomocy sąsiedzkiej, fachowej pomocy agronomicznej i weterynaryjnej, sprawiedliwego rozdziału obowiązkowych dostaw, nadzoru nad obustronnym wykonywaniem umów kontraktacyjnych, troskliwej pomocy dla gospodarstw indywidualnych i spółdzielni produkcyjnych. Wielkie znaczenie przywiązują chłopi do dobrej pracy nowopowstających Gromadzkich Rad Narodowych.

Wyborcy żądają od Rad Narodowych sprawniejszego budownictwa i remontu mieszkań, rozbudowy przemysłu terenowego i komunikacji miejskiej, należytego zaopatrywania ludności w szeroki asortyment towarów, rozbudowy placówek ochrony zdrowia, nowych szkół i przedszkoli, urządzeń kulturalnych i sportowych.

Rady Narodowe powinny rozwinąć wszechstronną działalność w celu spełnienia słusznych i sprawiedliwych żądań ludzi pracy w mieście i na wsi:

Żeby się lepiej żyło; żeby było więcej troski o człowieka; żeby z myślą o człowieku, o jego wielkich i małych kłopotach tępić marnotrawstwo, bezduszność i biurokratyzm, nadużycia i nieprawości. Żeby święcie przestrzegać jego praw obywatelskich i nie dopuszczać do łamania praworządności ludowej.

Wola narodu wyrażona w tym programie — to określenie dla każdego miasteczka i każdej gromady, dla każdego zakątka kraju zadań, które przed całym narodem postawił II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i które naród przyjął za swoje.

OBYWATELE!

Front Narodowy — jedność narodu oparta na fundamencie sojuszu robotników i chłopów — oto najważniejsze źródło naszej mocy.

Z tego źródła płyną nasze zwycięstwa nad ruinami i zniszczeniami wojennymi, nasze ogromne postępy w rozwoju gospodarki i kultury narodowej.

Z tego źródła płyną rosnące siły i znaczenie naszej Ojczyzny na arenie międzynarodowej, jej wydatny udział w walce obozu pokoju o zbiorowe bezpieczeństwo i pokojowe współżycie narodów. Jedność narodu, przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, wspólny marsz naprzód w szeregach dziewięćsetmilionowego obozu pokoju daje nam pewność udaremnienia wszelkich zakusów i machinacji niemieckich odwetowców, amerykańskich imperialistów, wskrzesicieli Wehrmachtu, wszystkich, którzy by chcieli zagrozić naszej niepodległości i naszym granicom.

Powszechny udział w wyborach do Rad Narodowych zadokumentuje jeszcze raz i wzmoże jeszcze bardziej jedność naszego narodu, siłę naszego państwa ludowego, naszą niezłomną wolę pokoju.

POLACY!

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej gwarantuje wam najbardziej demokratyczne prawa — pełnię swobody w wyrażaniu waszej woli.

Wybory są POWSZECHNE — a to oznacza, że WSZYSCY obywatele mają prawo decydować o składzie Rad Narodowych.

Wybory są RÓWNE — oznacza to, że nie ma między nami uprzywilejowanych, głos KAŻDEGO obywatela w jednakowym stopniu decyduje o tym, kto zostanie wybrany.

Wybory są BEZPOŚREDNIE — oznacza to, że każdy obywatel wybiera WPROST do Rad Narodowych kilku szczebli — gromadzkich, dzielnicowych, miejskich, powiatowych, wojewódzkich.

Wybory są TAJNE — oznacza to, że każdy wyborca korzysta przy głosowaniu z warunków, zabezpieczających mu nieskrępowane wyrażenie swej woli.

Korzystajcie z tych praw, obywatele!

Wszystkie siły do walki o dobrobyt, o pokój, o szczęście narodu!

Wszyscy do urn wyborczych!
Wszystkie głosy na kandydatów Frontu Narodowego!

OGÓLNOPOLSKI KOMITET FRONTU NARODOWEGO

JAN JANISZEWSKI

ROBOTNICY PRZECIW ŻOŁDAKOM

PRASA niemiecka, a więc także zachodnio-niemiecka pełna jest w ostatnich dniach artykułów i informacji na temat zagadnienia niemieckiego po konferencji londyńskiej i paryskiej. Jednocześnie żywo dyskutowane są fakty i motywy coraz liczniejszych i poważniejszych wystąpień antyremilitaryzacyjnych tego rzędu, co uchwały młodzieżowych związkowców, uchwały kongresu Związków Zawodowych, wystąpienie przewodniczącego SPD Ollenhauera przewodniczącego FDP dra Dehlera itp.

„Stuttgarter Zeitung" pisząc o III konferencji młodzieżowej Związków Zawodowych donosi, że uchwałę potępiającą remilitaryzację Niemiec motywowano na konferencji tym: że *wszelkie dążenia zbrojne miałyby nieprzewidziane następstwa polityczne dla zjednoczenia Niemiec.* Delegaci na konferencję zaprotestowali przeciw uchwalonemu przez Bundestag uzupełnieniu konstytucji Republiki Związkowej, gdyż sprawia ono, że *wolność osobista zostaje ograniczona na rzecz ustawy wojskowej.* Równie, jak poprzednie uchwały, olbrzymią większością głosów konferencja wytyczyła jako najbliższy cel polityki Republiki Związkowej *przywrócenie normalnych stosunków z radziecką strefą okupacyjną.* Politycy Republiki Związkowej winni zdaniem konferencji reprezentującej 1,2 mln młodych związkowców — ująć inicjatywę w swoje ręce! a nie powoływać się jedynie na odpowiedzialność zwycięskich mocarstw z 1945 r."

Od tej właśnie młodzieży, którą polityka Adenauera pozbawiła możliwości rozwoju, kształcenia się i pracy, przewodniczący faszystowskiej Partii Niemieckiej (Deutsche Partei) dr von Merkatz zażądał — jak donosi „Neues Deutschland" — *ofiary z życia i zdrowia* na rzecz planów państwa bońskiego... Propaganda na rzecz tej *ofiary* przybiera już rozmiary nerwowego krzyku. Wystarczy rzucić okiem na wykaz nowych książek, jakie ostatnio ukazały się w Niemczech zachodnich z zadaniem wybielania Hitlera i jego Reichu i werbowania żołdaków dla czwartego Reichu Adenauera. Czego tam nie ma! Jest i generał Galland *Pierwsi i ostatni*, jest generał Ramcke, szef hitlerowskich spadochroniarzy z książką *Skoczek spadochronowy dawniej i dziś.* Franz von Papen (ten sam!) *Uliczka prawdy*, jest i książka pod znamiennym tytułem *Adolf Hitler — mój przyjaciel z lat młodości*, ba — jest i książka znanego zbrodniarza wojennego, odpowiedzialnego za pracę przymusową milionów ludzi, Reichsarbeitsführera Konstantina Hierla pt. *W służbie Niemiec od 1913—1945*... Wydawnictwom książkowym dzielnie sekunduje w tym dziele prasa zachodnio - niemiecka spod znaku swastyki. Np. „Die Welt" subwencjonowany przez Anglików, poświęcił temu zagadnieniu wiele miejsca. Dowiadujemy się z niego m. in., *że krój munduru nowego Wehrmachtu będzie podobny do amerykańskiego, w kolorze oliwkowym* oraz *iż nowy hełm jest identyczny w swym kształcie z amerykańskim. Można go używać do gotowania, mycia i picia...* (że można i zginąć w nim — o tym „Die Welt" przezornie nie wspomina...). No, i te Parademarsche i manewry Grenzschutzu! Amerykański „Life" z zachwytem zamieścił pod kilku zdjęciami z ćwiczeń Grenzschutzu podpis: *Wielu naszych Czytelników będzie zaskoczonych tym, że Niemcy — jak pokazują to nasze ilustracje — mają tak potężny rdzeń nowej armii, jakim jest Grenzschutz...*

Aż dziwić się należy, że są w Niemczech zachodnich ludzie, którzy jak donosi „Hamburger Echo" zrzeszyli się w Związek Uchylających się od służby wojskowej, w Kolonii demonstrowali przeciwko rekrutacji młodzieży zachodnio-niemieckiej do nowego Wehrmachtu...

Ale zostawmy tę ironię. Chyba najlepiej określił zagadnienie wspomniany tu już raz „Die Welt" dając artykułowi o kongresie Związków Zawodowych znamienny tytuł: *Robotnicy przeciw żołnierzom* (a może raczej żołdakom?).

Przeciw związkom zawodowym i uchwałom ich kongresu wytoczono oczywiście co rychlej nową artylerię. Poza naciskami na przewodniczącego DGB, Freytaga, wywieranymi przez Adenauera, do ataku przystąpiły liczne ugrupowania i siły. Tak więc np. dwutygodnik „Fortschritt" (organ niezależnych demokratów — FDP) w artykule pod znamiennym tytułem *Makulatura z kongresu DGB* stwierdza, iż rezolucje i uchwały tego kongresu nie są więcej warte, niż sterta makulatury. Ale na tym dla „Fortschritt" zagadnienie się nie kończy. Pismo sięga i do znanego arsenału pogróżek na temat możliwości rozbicia jedności związków zawodowych. Pismo rozumuje tak: kongres nie przyniósł związkowcom zachodnio-niemieckim nie tylko żadnych korzyści materialnych, ale jeszcze przez uchwały antyremilitaryzacyjne *ożywił na nowo niebezpieczeństwo walk światopoglądowych w łonie DGB.* Uchwała ta bowiem, jeśli chodzi o chrześcijańsko-demokratycznych pracobiorców zorganizowanych w DGB, kryje w sobie źródło tak poważnych konfliktów, że sprawa jedności związków zawodowych musi niechybnie wypłynąć... A więc, innymi słowy, można przystąpić do stworzenia rozłamowych, chadeckich związków zawodowych. Zaś organ Ministra Kaisera i organizacji przesiedleńczych, „Ost-West Kurier" zarzuca wręcz związkowcom, iż przeszli na pozycje komunistyczne. *Czym* — zapytuje pismo — *różni się komunistyczne stanowisko „ohne uns" (bez nas) od stanowiska związków zawodowych „noch nicht" (jeszcze nie pora)?* I dalej: *Aby pójść za logiką DGB, trzeba by przyjąć, że przeciwnicy uzbrojenia Niemiec są jedynymi zwolennikami zjednoczenia i na odwrót, zwolennicy uzbrojenia, są wrogami zjednoczenia.*

W gruncie rzeczy jednak te pogróżki i manewry mają tylko ukryć niepokój, jaki zapanował ostatnio w Niemczech zachodnich. Niepokój ten, spowodowany postawą społeczeństwa i niektórych ulegających naciskowi opinii mas — partii politycznych, sprowadza się m. in. do rozważania losów koalicji bońskiej i jej głównej partii CDU, której poważny cios zadały już czerwcowe wybory w Nadrenii — Palatynacie i wrześniowe w Szlezwigu — Holsztynie. Zachodnio-niemiecki tygodnik niezależny „Das andere Deutschland" donosi o tajnym posiedzeniu przedstawicieli europejskich partii chrześcijańsko-demokratycznych, odbytym w Wiedniu. Przedstawiciel zachodnio - niemieckiej CDU/CSU na tej konferencji nie ukrywał, że kierownictwo tej partii żywi poważne obawy o losy partii i koalicji, a także o wyniki dalszych wyborów do zachodnio-niemieckich Landtagów. Możliwość rozbicia się koalicji rządowej Bonn rozważa także zachodnio-niemiecki tygodnik „Deutsche Woche", organ grupy b. kanclerza dra Wirtha. Zdaniem pisma w Bonn przyjmuje się pewnik, że wcześniej czy później FDP odłączy się od koalicji, przy czym z podobnymi myślami nosi się też BHE (partia przesiedleńców), która grozi wystąpieniem z koalicji, o ile rząd nie dotrzyma przyrzeczeń jej w swoim czasie.

O kociokwiku panującym w Bonn po Londynie — mimo robionej dobrej miny, świadczą także pogłoski zanotowane przez tenże tygodnik — organ dra Wirtha. Według pogłosek krążących w Bonn, zawarte w Londynie porozumienie wyklucza w ogóle zjednoczenie Niemiec. Jedynie bowiem za rezygnację ze zjednoczenia, zachodnie mocarstwa rzekomo gotowe są poczynić ustępstwa na rzecz przyznania Republice Związkowej tzw. suwerenności. Tak, czy inaczej — konkluduje „Deutsche Woche" — już dziś w Bonn panuje zgodny pogląd na to, że poprzez układy londyńskie nie może być mowy o odzyskaniu pełnej suwerenności. Wyrazem takich poglądów są też wystąpienia b. ministra sprawiedliwości w poprzednim gabinecie Adenauera, przewodniczącego niezależnych demokratów (FDP) dra Dehlera, czy przywódcy socjaldemokratów zachodnio - niemieckich (SPD), Ollenhauera. Burżuazyjny organ, reprezentujący interesy zachodnio - niemieckiego przemysłu „Deutsche Zeitung und Wirtschaft Zeitung" oceniając postawę socjaldemokratów uważa, iż SPD ocenia uchwały londyńskie jako „ultima ratio" w wypadku niedojścia do porozumienia z ZSRR, z którym jednak rozmowy należy zacząć natychmiast. Pismo — pamiętajmy o jego charakterze — staje zdecydowanie po stronie Ollenhauera i domaga się stworzenia w każdym układzie z Zachodem klauzuli umożliwiającej wypowiedzenie układu, aby zostawić otworem drzwi do rokowań z ZSRR. Podobne stanowisko zajął poważny, reakcyjny dziennik zachodnio-niemiecki, „Frankfurter Allgemeine Zeitung", który pisząc najpierw o wypowiedziach Dehlera stwierdził, że *„podobają się nam jego poglądy... aby pewnego dnia, a może nawet zaraz, pojechać do Moskwy i tam, na miejscu wytworzyć sobie jasne pojęcie o rosyjskiej polityce... Truizmem jest również, że trzeba także rozmawiać z innymi państwami wschodnimi, od których w dużym stopniu zależy los Niemiec... Prawdopodobnie cena, jaką musimy zapłacić za zjednoczenie będzie dziś wyższa, aniżeli wiosną 1952 r., kiedy to najlepsza sposobność do rozmów została zmarnowana"...*

Przeciw stawianiu wyłącznie na kartę amerykańską, występuje też wspomniany już raz organ FDP, „Fortschritt" *Sytuacja uległa na wielu odcinkach zmianie. Identycznie, jak na początku dwudziestych lat okazuje się dziś, że Europa kryje w sobie o wiele więcej sił umożliwiających własną regenerację, aniżeli jeszcze wczoraj można to było przypuszczać... Nadzwyczajne wyobrażenia o tym, co rzeczywiście reprezentuje Ameryka jeśli chodzi o rozstrzyganie ważnych problemów polityki światowej według jej woli, zaczynają coraz bardziej blednąć...*

Tak to w ogniu dyskusji ujawniają się coraz silniejsze rysy na fasadzie adenauerowskiego państwa. Pod uderzeniami, zadawanymi polityce remilitaryzacji przez masy pracujące i postępowe siły Niemiec zachodnich, coraz bardziej chwieje się powoływany na nowo do życia faszyzm i militaryzm.

Jan Janiszewski

PRZEMÓWIENIE BOLESŁAWA BIERUTA

(Dokończenie ze str. 1,

dobrobyt materialny, podnosić swą kulturę i swą świadomość. Nigdy przedtem w swych dziejach naród nasz nie miał tak pomyślnych warunków. Cóż więc potrzeba, aby wzrastała szybciej stopa życiowa mas pracujących?

Potrzeba przede wszystkim umacniać naszą jedność, skutecznie paraliżując usiłowania wrogich agentur i elementów reakcyjnych, dywersantów i szkodników, nasyłanych przez imperialistów, aby naszą jedność osłabiać.

Jesteśmy narodem pracowitym, zdolnym i gorąco kochającym swój kraj, swoją ojczyznę. Umiemy porywać się do czynów wielkich, jeśli uświadamiamy sobie ich wagę i znaczenie. Mamy w narodzie wiele talentów, i nie brak u nas serc szlachetnych, umiejących poświęcić narodowi wszystko — całą siłę uczuć i twardą wolę czynów. Cóż więcej potrzeba, abyśmy, zjednoczywszy nasze siły i nasze zalety kształtowali szybko rzeczywistą moc i potęgę, dostatni byt i wspaniałą przyszłość naszego narodu?

Potrzeba nam zdecydowanej woli i wytrwałości, twardej dyscypliny w pracy codziennej i bezwzględnego potępienia wszelkiego warcholstwa, nieróbstwa, marnotrawstwa, pasożytnictwa czy innych nawyków antyspołecznych, które stanowią spuściznę starego ustroju kapitalistycznego. Musimy uodporniać przeciwko tym nawykom naszą młodzież, budząc w niej patriotyzm i najgłębszą ideowość społeczną. Są to wielkie zadania ideologiczne Frontu Narodowego.

Program Frontu Narodowego jest szeroki i porywający. Jest to program walki o pokój i o wielką przyszłość naszego narodu. Jest to walka o nieustanne podnoszenie świadomości mas ludowych i o coraz lepsze warunki ich życia, o ich dobrobyt, o ich kulturę.

Jest to praca nad dalszym umacnianiem sił naszego państwa ludowego poprzez umacnianie jedności całego narodu.

Z tym wielkim i doniosłym programem idźmy do akcji wyborczej, rozwijając szeregi naszego Frontu Narodowego, włączając doń wielomilionowe masy bezpartyjnych, ofiarne miliony naszych kobiet i naszej dzielnej młodzieży. Nasze zwycięstwo w tej walce będzie nową wielką zdobyczą całego narodu polskiego.

Niech żyje Front Narodowy!

Niech żyje nasza umiłowana Polska Rzeczpospolita Ludowa!

AKADEMIA TEOLOGII KATOLICKIEJ rozpoczęła pracę

Rozmowa z Ks. Rektorem JANEM CZUJEM

W dniu 20 bm. odbyła się w Warszawie na Bielanach uroczystość inauguracji roku akademickiego 1954 55 w nowoutworzonej Akademii Teologii Katolickiej. Po mszy św. odprawionej przez Ks. Biskupa Wacława Majewskiego, uroczystość otworzył Rektor Akademii — Ks. Prof. Dr Jan Czuj. Wykłady inauguracyjne wygłosili prorektorzy — Ks. Prof. Dr Seweryn Kowalski i Ks. Prof. Dr Tadeusz Kruszyński. Na uroczystości obecny był przedstawiciel Episkopatu Ks. Biskup Wacław Majewski oraz przedstawiciel Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego dyr. Jan Lech i przedstawiciel Urzędu do Spraw Wyznań dyr. Józef Siemiek. W inauguracji wzięli udział m. in. Ks. Prof. Dr Stefan Biskupski — wikariusz kapitulny diecezji warmijskiej, Ks. Infułat Jan Piskorz — wikariusz kapitulny diecezji stalinogrodzkiej, Prof. Dr Stanisław Turski — Rektor Uniwersytetu Warszawskiego, Prof. Dr Kazimierz Lepszy — prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Ks. Prof. Dr Józef Iwanicki — Rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Ks. Prof. Dr Stanisław Huet — wikariusz generalny arch.diecezji krakowskiej, Ks. Prał. Stanisław Piotrowski — wikariusz generalny archidiecezji warszawskiej, Ks. Prał. Wacław Jabłoński — wikariusz generalny archidiecezji wrocławskiej, przedstawiciele kapituły warszawskiej, licznie zgromadzeni księża, profesorowie i słuchacze Akademii Teologii Katolickiej.

Poniżej zamieszczamy rozmowę przeprowadzoną przez przedstawiciela tygodnika „Dziś i Jutro" red. Wojciecha Wieczorka z Rektorem Akademii Teologii Katolickiej — K. Prof. Dr Janem Czujem.

Z KS. prof. dr Janem Czujem — rektorem nowoutworzonej Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, rozmawiam w jego mieszkaniu prywatnym na Rynku Staromiejskim. Jest wczesne przedpołudnie — jedyna pora, w której ks. Rektor obarczony wieloma obowiązkami swego stanowiska, jak również obowiązkami wynikającymi z pełnienia funkcji przewodniczącego Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego, znajduje chwilę czasu, by zaspokoić publicystyczną ciekawość. Sądzę jednak, że ta ciekawość nie jest tylko moim zawodowym przywilejem. W równej mierze dotyczy ona całej społeczności katolickiej w Polsce, wśród której fakt utworzenia nowej uczelni wywołał zrozumiałe zainteresowanie. Myśl tę wyrażam głośno, formułując zarazem cel rozmowy w pytaniu: może ks. Rektor zechciałby podzielić się z czytelnikami tygodnika „Dziś i Jutro" swoimi uwagami w związku z powołaniem do życia Akademii Teologii Katolickiej?

Zdaję sobie sprawę z niezręcznej ogólnikowości tego pytania. Zanim jednak zadam następne, sprecyzowane bardziej szczegółowo, zabiera głos mój rozmówca.

Przede wszystkim trzeba powiedzieć kilka słów o okolicznościach towarzyszących samemu powstaniu nowej uczelni. Akademia Teologii Katolickiej utworzona została w wyniku usamodzielnienia Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego oraz włączeniu do niej — z zachowaniem własnego statutu i tradycji — Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podstawą prawną ze strony państwa przeprowadzonej w ten sposób reorganizacji studiów teologicznych w Polsce Ludowej były odpowiednie uchwały Rady Ministrów. Statut Akademii, opracowany przez specjalnie powołaną komisję i obejmujący bez zmian statuty dawnych Wydziałów Teologii na Uniwersytecie Warszawskim i Krakowskim, zaakceptowany został wspólnie przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i kompetentne władze kościelne. W całokształcie swej działalności nowa uczelnia kieruje się obowiązującymi przepisami państwowymi oraz przepisami prawa kanonicznego o uniwersytetach i wydziałach studiów kościelnych. Wynika stąd — kontynuuje dalej ksiądz Rektor — *że w zakresie przepisów państwowych Akademia podlega Ministerstwu Szkolnictwa Wyższego, w zakresie przepisów prawa kanonicznego — władzy kościelnej, która udziela pracownikom nauki i wykładowcom misji kanonicznej.*

Zasady, na których oparta jest działalność naukowo - wychowawcza Akademii Teologii Katolickiej, opracowane więc zostały w pełnym porozumieniu między władzami państwowymi i kościelnymi?

Tak.

Teraz prosiłbym o kilka informacji dotyczących wewnętrznej organizacji studiów, ilości Wydziałów, katedr itp.

Akademia posiada trzy Wydziały: Teologiczny, Filozofii Chrześcijańskiej i Prawa Kanonicznego. Z każdym wydziałem związane są katedry, będące podstawową jednostką pracy dydaktyczno - wychowawczej i naukowej Akademii. W ramach zaś poszczególnych katedr rozwiną działalność zakłady naukowe. Katedry o pokrewnych zadaniach dydaktycznych i naukowo-badawczych łączone są w zespoły katedr. Ogółem, Akademia Teologii Katolickiej posiada 32 katedry. Najwięcej, bo aż siedemnaście, posiada Wydział Teologiczny. Są to katedry: apologetyki, katechetyki, zespół katedr dogmatyki (katedra dogmatyki pozytywnej, dogmatyki spekulatywnej, historii dogmatów), zespół katedr biblistyki (katedra Starego Testamentu, Nowego Testamentu, filologii biblijnej, teologii biblijnej), zespół katedr teologii moralnej (katedra teologii ogólnej, teologii szczegółowej, homiletyki) i wreszcie zespół katedr historii Kościoła (katedra historii powszechnej Kościoła, historii Kościoła w Polsce, patrologii, archeologii chrześcijańskiej, historii sztuki kościelnej). Poszczególne katedry i zespoły katedr pokrywają się z podziałem Wydziału Teologicznego na sześć kierunków studiów, a mianowicie: apologetyczny, katechetyczny, dogmatyczny, biblijny, moralny i historyczny.

W skład Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej wchodzi sześć katedr: katedra podstaw i historii filozofii chrześcijańskiej, psychologii empirycznej i doświadczalnej, ontologii i logiki, historii filozofii powszechnej, filozofii religii oraz etyki.

Wreszcie trzeci wydział, Wydział Prawa Kanonicznego posiada osiem katedr: zespół katedr historii prawa (katedra źródeł i literatury prawa, prawa kanonicznego w Polsce, prawa rzymskiego), zespół katedr prawa kanonicznego (katedra prawa karnego kanonicznego i postępowania karnego, kościelnego prawa cywilnego, procedury kościelnego prawa cywilnego, publicznego prawa kościelnego i międzynarodowego) oraz katedrę państwowego prawa cywilnego. Przy Akademii istnieje również studium i zespoły praktycznej nauki języków obcych oraz biblioteka główna. Biblioteka główna jest zakładem naukowym ogólnouczelnianym. Oprócz niej poszczególne zespoły katedr Akademii posiadają biblioteki własne, które łącznie z biblioteką główną tworzą jednolitą sieć biblioteczną.

Wracając do postawionego pytania, dotyczącego organizacji studiów na Akademii — mówi dalej ksiądz Rektor Czuj — *trzeba jeszcze dodać, że w nowej uczelni obowiązuje dwustopniowy system studiów: studium teologii ogólnej oraz studium teologii specjalnej z różnymi kierunkami studiów, na które uczęszczać mogą studenci, którzy ukończyli teologię ogólną. Ukończenie studiów drugiego stopnia uprawnia do otrzymania tytułu magisterskiego i ubiegania się o tytuł doktorski. Warunki uzyskania stopnia magistra i doktora Akademii Teologii Katolickiej regulowane są przepisami obowiązującymi na dawnych wydziałach teologii katolickiej w Warszawie i Krakowie.*

Ks. Jan Czuj

Cóż jeszcze mogę Panu powiedzieć na temat organizacji studiów w Akademii Teologii Katolickiej — zastanawia się mój rozmówca — *chyba jeszcze to, że szczegółowy tok studiów określony jest planem nauczania zgodnym z prawem kanonicznym oraz regulaminami, planami i programami studiów wydawanymi przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego.*

A jak przedstawia się sprawa obsady profesorskiej?

Wykładowcy na Akademii Teologii Katolickiej wywodzą się z pośród profesorów b. Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego oraz b. Wydziału Teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Może teraz ksiądz Rektor poinformuje czytelników „Dziś i Jutro" o wydawnictwach Akademii?

Kontynuujemy wydawanie „Collectanea Teologica" — wydawnictwa dawnego Wydziału Teologii Katolickiej U.W.

Nie mówiliśmy jeszcze o studentach Akademii. W jaki sposób przebiega ich rekrutacja? Ilu mniej więcej słuchaczy przewiduje się w bieżącym roku akademickim?

Rekrutacją studentów do Akademii Teologii Katolickiej zajmuje się specjalna Komisja Akademii. Na drugie pytanie trudno mi będzie dać ścisłą odpowiedź. W nowej uczelni rozpoczną studia kandydaci przyjęci na dawne wydziały teologii na Uniwersytecie Warszawskim i Jagiellońskim, a także słuchacze wyższych lat studiów. Przewidujemy w bieżącym roku akademickim ogółem około 600 studentów. Warto w tym miejscu dodać, że prawo do studiów na Akademii Teologii Katolickiej mają zarówno księża i kandydaci do stanu duchownego jak również osoby świeckie.

Zagadnienie liczby słuchaczy łączy się ściśle ze sprawą zorganizowania dostosowanego do potrzeb Akademii internatu dla młodzieży studiującej. W tym względzie poczyniono już szereg konkretnych prac w siedzibie Akademii na Bielanach.

Od spraw naukowych — włączam się w tok odpowiedzi księdza Rektora Czuja — przechodzimy, jak widzę, do praktycznych zagadnień typu administracyjno - gospodarczego.

Są one równie ważne. Powtarzam, w tej chwili kończymy urządzanie internatu, który pomieści większą ilość słuchaczy, w szczególności słuchaczy spoza Warszawy. Nie zapominamy także o wykładowcach. Planujemy wyremontowanie znajdujących się na terenie Akademii domków, które przeznaczamy na mieszkania dla profesorów. Wracając jeszcze do spraw młodzieży trzeba dodać, że zorganizowaliśmy również stołówkę i zapewniliśmy stypendia dla najbardziej potrzebujących studentów.

Opracowywane są już projekty inwestycyjne dalszej rozbudowy siedziby Akademii na Bielanach, tak, by w pełni odpowiadała ona naszym potrzebom.

Rozmowa nasza dobiega końca. Zadaję ostatnie pytanie. Jak ksiądz Rektor ocenia rolę Akademii Teologii Katolickiej w perspektywie rozwoju nauk teologicznych w Polsce Ludowej?

Spoglądam w przyszłość z optymizmem. Sądzę, że warunki stworzone dla rozwoju nauk teologicznych przez powołanie samodzielnej jednostki naukowo - wychowawczej, jaką jest Akademia Teologii Katolickiej, zostaną przez nas w pełni wykorzystane. Chciałbym zwrócić uwagę czytelników na fakt, że ilość katedr na trzech Wydziałach Akademii, w porównaniu ze stanem rzeczy istniejącym na dawnych wydziałach teologii na Uniwersytecie Warszawskim i Jagiellońskim łącznie, została podwojona. Utworzono szereg katedr nowych. Studentom teologii zagwarantowano możliwość uzyskiwania stopni naukowych.

Stwierdzić trzeba, że rząd Polski Ludowej, kierujący się potrzebami całego narodu, uwzględnił potrzeby społeczności katolickiej również w zakresie studiów teologicznych, w formie odpowiadającej ogólnej strukturze i organizacji studiów wyższych w naszym kraju. Chciałbym również podkreślić, że perspektywy rozwoju Akademii Teologii Katolickiej widzę w powiązaniu z pomocą i zaufaniem, jakim ją obdarzy społeczeństwo katolickie w Polsce.

Zadaniem Akademii jest uprawianie nauk teologicznych, podnoszenie poziomu wiedzy teologicznej w naszym kraju. W równej mierze jest także jej zadaniem wychowywanie młodych kapłanów i naukowców katolickich w duchu wierności Kościołowi oraz w duchu patriotyzmu wobec swej ojczyzny. Pierwszy rok działalności na nowej placówce — kończy rozmowę ksiądz Rektor — *rozpoczynamy pod hasłem rzetelnej pracy i zdrowego postępu.*

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5
Zam Nr 2650
5-B-150135

BOLESŁAW PIASECKI

Ruch społecznie postępowy KATOLIKÓW POLSKICH wobec wyborów do rad narodowych

Przemówienie wygłoszone na plenarnym posiedzeniu Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego

W dniu 5 grudnia w wyborach do rad milionowe rzesze obywateli Polski Ludowej oddadzą swoje głosy. Kim są ci obywatele? Są to ludzie pracy, robotnicy, chłopi, inteligencja. Są to ludzie zwycięskiej pracy. Skutki ich zwycięstw są widoczne na ziemi polskiej w postaci nowych zakładów przemysłowych, szkół, osiedli mieszkaniowych. Skutki ich zwycięstw docierają do każdego mieszkańca ziemi polskiej przez milionowe nakłady wydawnictw naukowych i kulturalnych. Nie ustępując w ofiarnym wysiłku pracy obywatele polscy przełożyli budowę potęgi swego państwa ludowego i oparty na rozumnym wyliczeniu trwały wzrost stopy życiowej — nad lekkomyślną rozrzutność doraźnej konsumpcji.

Duża część obywateli, która odda swój głos w dniu wyborów — to ludzie, których przed dziesięciu laty Manifest Polski Ludowej, a następnie oddziaływanie wychowawcze partii klasy robotniczej wyrwały z konserwatywnego bezwładu, z atmosfery wegetacji, narzuconej przez artynarodową ideologię klas posiadających. Częstym zjawiskiem dziesięciolecia były i bywają jeszcze niekiedy konflikty, niedostateczne widzenie perspektywy w myśleniu i działaniu, wynikające z zetknięcia starego i nowego. Niemniej jednak przytłaczająca większość przechodzących przeobrażenia ideologiczne Polaków podjęła trudne i nowe dla siebie decyzje, odrzuciła wiele mniej lub bardziej napastliwych prób rozbicia jedności narodu, prób czynionych czy to z pozycji restauracji kapitalizmu, czy to z pozycji międzynarodowego imperializmu wojennego.

Dla tych ważnych powodów oddający swe głosy w wyborach do rad obywatele to przede wszystkim ludzie rozumnej pracy, to pokolenie godne wysokiego szacunku w perspektywie historii Polski.

Ten szacunek dla udowodnionej postawy obywatelskiej wyborców nakazuje określenie powszechnych motywów głosowania w wyborach do rad.

Dla zdecydowanej większości obywateli głosowanie będzie równoznaczne z opowiedzeniem się za oczywiście słuszną linią programu Frontu Narodowego w dziedzinie polityki międzynarodowej, linią, która jednocześnie wzmacnia skutecznie siły kierowanego przez Związek Radziecki obozu pokoju i jednocześnie umacnia jedynie słuszną granicę przyjaźni z demokratycznymi Niemcami — na Odrze i Nysie. Dla zdecydowanej większości wyborców głosowanie będzie równoznaczne z opowiedzeniem się za oczywistą słusznością narodowego budownictwa społeczno-gospodarczego, za słusznością programu podniesienia wydajności rolnictwa i stosowania nowoczesnych form gospodarowania na wsi.

U tych wszystkich obywateli, których świadomość ideowo-polityczna nadążyła w pełni za historią Polski Ludowej, ważnym, uzupełniającym motywem głosowania będzie wola współgospodarzenia w kraju. Dokonane uświadomienie obywatelowi jego praw, dokonane udostępnienie mu niezbędnej wiedzy społecznej powoduje właściwą i naturalną chęć korzystania z uprawnień i użycia tej wiedzy. Miliony ludzi w Polsce zajmując pozycję ideologiczną Frontu Narodowego słusznie chce, aby ich wpływ zaważył bezpośrednio na wykonywaniu narodowych planów, w ich gromadzie, powiecie, a nawet województwie.

Część wreszcie wyborców, najmniej uświadomionych, będzie głosowała z przyczyn deklaratywnych pod naciskiem powszechnej opinii społecznej.

Jeśli zdecydowanie przeważająca tonacja ideologiczna motywów powszechnego udziału społeczeństwa w wyborach jest aktem zaufania dla programu Frontu Narodowego, to jasno stąd wynika zadanie do przeprowadzenia w pozostałym okresie kampanii wyborczej. Polega ono na uszlachetnieniu motywów głosowania tych obywateli, którzy nie zdają sobie jeszcze sprawy w sposób pełny z wagi ideowo-politycznego aktu konstytucyjnego, którego dokonują. Wiedzie do tego droga przez mobilizowanie aktywności wysuniętych kandydatów, wiedzie do tego droga przez dopilnowanie sposobu wykonania zadań przez wielotysięczną rzeszę aktywistów Frontu Narodowego. Wszyscy rozumieją ogromne znaczenie wychowawcze aktywności wysuniętych kandydatów w kampanii wyborczej. Dwustotrzydziestotysięczna cyfra tych kandydatów nie tylko pogłębia demokratyzację naszego ustroju, ale w dużej części winna i może dostarczyć nowych wartościowych aktywistów Frontu Narodowego.

Zarysowana powyżej problematyka jest widziana wyraźnie przez ruch społecznie postępowy katolików polskich, zorganizowanych w Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. Ruch społecznie postępowy wielokrotnie dawał dowody, że nie posiada wąskiego, ograniczonego stanowiska ideologicznego i zajmując właściwe mu stanowisko światopoglądowe widzi — w płaszczyźnie państwowej prymat spraw ogólnonarodowych. Niemniej jednak pozostaje faktem, że nie ma sprawy publicznego życia narodu polskiego, w której nie można by wziąć w rachubę funkcji katolicyzmu. Wymowa rzeczywistości jest taka, że funkcja społeczna katolicyzmu w Polsce może albo poważnie pomagać dla pomyślnego biegu spraw narodowych, albo unieruchamiać poważne zasoby energii społecznej.

Zadaniem Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich jako jednego z ogniw Frontu Narodowego jest zarówno posiadać autentyczny autorytet w społeczności katolickiej, jak i surowo dbać o to, aby społeczne oddziaływanie intelektualne i moralne płynące z religii katolickiej wyznawanej w Polsce, wspomagało i wzbogacało twórcze siły narodu.

Bezpartyjny działacz Frontu Narodowego winien posiadać zaufanie Partii klasy robotniczej i swego środowiska społecznego. Partii klasy robotniczej dlatego, że jest ona siłą kierowniczą narodu i na niej spoczywa zasadniczy ciężar historycznej odpowiedzialności. Bezpartyjny działacz Frontu Narodowego powinien posiadać również zaufanie własnego środowiska społecznego, ponieważ tylko wtedy posiada możliwość uruchomienia nowych źródeł energii narodowej i przekazywania kierownictwu narodu wartościowych inicjatyw płynących z ośrodków społecznych objętych zakresem jego działalności. Taka sama jest postawa, na której działacz bezpartyjny może zdobyć jednocześnie i zaufanie Partii i swego bezpartyjnego środowiska. Jest nią bezkompromisowa i skuteczna realizacja programu Frontu Narodowego. Duchowni i świeccy działacze Komisji są świadomi, że wybory do rad stanowią poważną okazję w urzeczywistnieniu tej właściwej drogi.

W wyniku ideologicznej mobilizacji z pozycji Frontu Narodowego ogół wierzących i duchowieństwa przyczyni się poważnie do tego, aby powszechność głosowania, dojrzałość motywów głosowania pomogła powstałym w jego wyniku radom do godnego pełnienia ich ważnej roli terenowych ogniw, dalszego wcielania w życie programu Frontu Narodowego — programu wielkiej i jasnej przyszłości Polski Ludowej.

Wiersze perskie

LAHUTI

Tłum. BOHDAN GĘBARSKI

KAWAŁEK CHLEBA

Powstańcze wojska zeszły nagle z gór
I szacha sztab wycofał się w popłochu.
Z najodleglejszych wsi na górskich stokach
Zwoziły żywność sznury chłopskich fur.

I miasto, miotając się w agonii
Zaczęło znów nabierać krwi i ciała.
Na cmentarz kobiecina przydreptała,
Trzymając kromkę chleba w czarnych dłoniach.

I tu przy grobie świeżo usypanym
Osuwa się na ziemię szarą bryłą
I kawał chleba kładzie przy mogile,
Szepcząc bezładnie słowa urywane:

„O chleb prosiłeś, kiedy cię widziałam,
Bo głód was gnębił bardziej niźli rany,
Myślałeś, że już jesteś zapomniany,
Że podła matka chleba dać nie chciała...

Lecz niech mi będzie świadkiem Allach w niebie,
Że nie ma w całym mieście takiej dziury,
Do której nie wczepiłabym pazurów...
I oto jest
mój pierwszy chleb dla ciebie...“

DO SHAMSE KESMAN

1.

Kobieto, co swą różę zgubiłaś w płomieniu,
Kielicha swego dopij w zupełnym milczeniu,
Róży już ani jękiem nie wyszarpiesz z ciszy,
Ani nie wyczarujesz krzykami derwiszy.

2

Jeżeli mądrość z niebem porównać potrzeba,
To ty jesteś jak słońce — okiem tego nieba,
Pod którym imię twoje jak płatek szkarłatu
Iran ciśnie do piersi zranionej okrutnie...
Wiesz najlepiej, jak życie delikatnych kwiatów
Jest tu smutne...

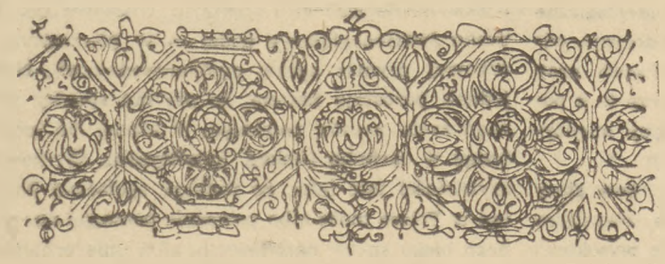

rys. Bohdan Śleskin

EGIPT W GRUDNIU 1921 R.

Ten pagórek, złamane w pół drzewo,
Te popioły spalonej murawy,
Trupy ptaków w kałużach plugawych,
Wiatr dyszący pożogą i gniewem...

Góry w suchym i krwawo-mdłym skwarze,
Linia rzeki zrudziałej pod nimi,
Niebo brzuchem leżące na ziemi...
Bezgraniczne i duszne cmentarze...

Ludzie zbiegli z tej złej okolicy,
Gdzie zniszczono wszelakie istnienie,
Gdzie dobytek rzucono w płomienie
I obdarto z zieleni winnice.

Teraz tutaj już nic nie wyrasta,
Kwiaty znikły z ogrodów i pola,
Chłop w popłochu porzucił swą rolę,
Muezina głos zamilkł nad miastem.

Znam te strony — wtargnęły mi w oczy
Kolorytem zielonym i burym,
Wysepkami skalnymi, o które
Fala bije puszystym warkoczem.

Gdym zapytał tę falę, kim byli
Niszczyciele dorobku stu wieków,
Jak się zowie ten kraj i ta rzeka. —
Usłyszałem: „Ta rzeka jest Nilem...

A szli tędy zwiadowcy-cykliści,
Przewaliły baterie polowe,
Śmierć zasiały eskadry bombowe
I armatki angielskich czołgistów.“

CHŁOP I PAROBEK

Pewien chłop mówił tak do sąsiadów:
„Ot i żyj tu człowieku w tej nędzy!
Sieję smutek, a zbieram niedolę:
Baraniny od trzech lat nie wędzę,
Nie mam konia ni krowy od dawna,
Wczoraj kożuch sprzedałem a przędzę.
Chan[1]) zabiera mi cały dorobek,
Jeszcze żąda nikczemnik pieniędzy.
Cały świat mi się zwalił na plecy.
Czy to tak w nieskończoność trwać będzie?“

Słuchał tego Issai bezrolny,
Który chłopu bób sadził na grzędzie...
„A co mówić mam ja w takim razie?
On się skarży bezwstydnik na nędzę!
Nie ma konia, to orze człowiekiem,
Ja jak baran dostarczam mu przędzę,
Za to nie mam koszuli na karku,
Jeno w słońcu swój goły grzbiet wędzę.
Jeśli świat jemu usiadł na plecach
I obdziera sumiennie z pieniędzy,
To z kolei on, razem ze światem,
Wlazł na moje ramiona czym prędzej
I smagając mnie głodem jak batem,
Galopuje na człeku, by jędza.“

Poeta perski, Lahuti (ur. 1887), którego wiersze drukujemy, zbiegł w r. 1922 do Związku Radzieckiego, ścigany przez władze irańskie za swe postępowe przekonania. „Kawałek chleba“ nawiązuje do dziejów walk rewolucyjnych pod wodzą Sattar-chana i oblężenia Tabryzu, który wojska szacha próbowały wziąć głodem (1907—1909). Shamse Kesman to znakomita poetka perska, której syn poległ z ręki zwolenników szacha, podczas słynnego powstania w Gilanie (1920).

[1]) Wyraz „chan“, użyty w ostatnim utworze, znaczy tu po prostu tyle co „dziedzic“.

GRACJAN KOZŁOWSKI

JESIENNY

„Marto!

Zdziwi Cię zapewne ta obfita korespondencja od człowieka, który — zgodnie z obopólnym postanowieniem — nie powinien Ci przypominać o swym istnieniu. Wyłoniła się jednak sprawa niezwykłej wagi, która zmusza mnie do skontaktowania się z Tobą i zasięgnięcia Twojej opinii. Wybacz dygresje, które wydadzą Ci się dla całokształtu zagadnienia nieistotne. Ale znajdziesz tu również cały przebieg wypadków, dla których nie mogę sam znaleźć wytłumaczenia. Dlatego uważałem za konieczne przesłać Ci moje notatki, począwszy od połowy marca br. Po zapoznaniu się z ich treścią odpisz mi jak najszybciej. A może przyjedziesz do Warszawy?

Paweł.“

*

15. III. Nie wiedziałem, że aż tak wielkim przeżyciem może być spotkanie z sobowtórem. A właśnie dziś mi się to zdarzyło. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy na estradę Teatru Nowego („Roma“ ciągle się jeszcze odbudowuje) wszedł nagle człowiek, który mógłby być moim odbiciem w lustrze... Nazywa się Karel Anczerl i jest znakomitym czeskim dyrygentem. Tylko że on urodził się w roku 1908, a ja niestety pięć lat wcześniej. (Tak, tak, ma się tych pięć krzyżyków, ale nie o to chodzi). Dzisiejszy koncert miał specyficzny charakter. Ze względu na śmierć znanego męża stanu republiki czechosłowackiej Anczerl prosił, ażeby publiczność nie biła braw. Tak więc „Moja Ojczyzna“ Smetany — pamiętasz, dwa lata temu słuchaliśmy tego utworu — stała się jakby wyrazem hołdu dla zmarłego Prezydenta. Ten cykl poematów symfonicznych, opartych na czeskich motywach ludowych, jest naprawdę prześliczny. Zwłaszcza „Wełtawa“. Zawsze żałowałem, że nie umiem opisywać piękna muzyki. Cóż, nigdy nie byłem tęgim stylistą, a to już finezja. Na to trzeba Rollanda albo Manna. Ale à propos Manna... Od inżyniera Sosnowskiego pożyczyłem w swoim czasie „Czarodziejską Górę“, nie skończyłem jej jeszcze, a do Sosnowskiego więcej nie pójdę. I teraz nie wiem, czy skończyć książkę, czy odesłać ją już jutro. Sosnowskiego znam jeszcze sprzed wojny, razem pracowaliśmy u Sonenfelda. Teraz Sosnowski siedzi w zarządzie jakiejś spółdzielni budowlanej, robi tam fantastyczne interesy. Ostatnio bywałem u niego co sobotę na brydżu. A wczoraj... no tak, wczoraj tak mnie zdenerwowali jego goście, że o mało nie rzuciłem kart w pół robra. Ale opanowałem się i po skończonej grze grzecznie pożegnawszy się z całą paczką tych filistrów — opuściłem ją na zawsze. O co poszło? Bo ja wiem, może o nic. Ani Sosnowskiego, ani Michalczaka nic już nie zmieni. *Ubi bene, ibi patria.* Psioczą na Partię, na rząd, na co się da, a w biurach są układni, nadskakujący tak zwanym czynnikom, słowem fałszywi w najwyższym stopniu. Że Sosnowski wcześniej czy później trafi tam, gdzie już od dawna powinien „urzędować“, to pewne. Nawet Helldorf mówił, że Sosnowski prowadzi rabunkową gospodarkę materiałami budowlanymi. Zresztą nie o to chodzi. Jeśli kradnie, to koniec końców, będzie miał, co mu się należy. Mnie wyprowadziła z równowagi jego dwulicowość. Ze swej pracy w spółdzielni zrobił dochodowy interes — to jedno. Poza tym te jego ciągłe aluzje o „tymczasowości“. On czeka, rozumiesz, czeka...

Tak więc skończyłem z tymi brydżystami i poza pracownią pozostała mi muzyka, czasem spacer, teatr... Pozostały mi niedzielne rozmowy z Tobą. Pozostały mi listy od Stefana. Ale coraz rzadsze. Ostatni list otrzymałem w lutym ub. roku. Pisał, że wyjeżdża z Edynburga na kontynent. Dostał jakąś propozycję dobrej pracy. Ale co to za praca i gdzie konkretnie — o tym ani słowa. Przypuszczam szczerze, że dziwi mnie lakoniczność chłopaka. Zdawało się, że jakoś zadomowił się w tym Edynburgu, miał tam nawet jakąś sympatię — i nagle ten wyjazd. Coś w tym jest niejasnego.

22 III. Te coniedzielne rozmowy z Tobą weszły mi już w krew. Kartek zebrało się sporo i kiedyś (*post mortem auctoris*) będziesz miała furę ich do przeczytania. Nie jest wykluczone również, że taki „pamiętniczek“ jest dowodem pierwszych objawów infantylizmu u starszego pana. Ale trudno, sądzę, że mnie zrozumiesz, tak jak zrozumiałaś mnie rok temu.

W piątek czekała mnie w pracowni miła niespodzianka. Wraz z kol. Szuleckim otrzymałem polecenie opracowania fragmentu aksonometrii nowego osiedla na Pradze. Jego plan w skali 1:1000 nie jest jeszcze ostatecznie zatwierdzony do realizacji, ale o ile się nie mylę, jest to kwestia kilku dni. Z naszego rysunku ma być zrobiona makieta. Szulecki — młody zapaleniec i piekielnie zdolny facet — ma w tym planie swój poważny udział. Znalazł mianowicie doskonałe rozwiązanie połączenia niektórych przedwojennych obiektów z nowymi blokami. Pierwotnie chciano zburzyć te domy, Szulecki uparł się i udowodnił, że mogą być włączone w całość architektoniczną osiedla. Słyszałem, że chcą nam chłopaka zabrać do BUW. Szkoda by było, no, ale dla niego to nie lada awans. Zapał Szuleckiego działa na mnie wręcz odmładzająco. Spędzamy teraz całe dni w pracowni i dopiero w niedzielę mam czas na refleksje o... znikomości tego świata. (Nie jest on tak znikomy i marny, jeśli wysiłki najtęższych umysłów idą w kierunku zapewnienia tysiącom ludzi wygodnych, nowoczesnych mieszkań). Oczywiście, nie wszędzie tak jest, nie zawsze i u nas tak było — niestety. Rumienię się ze wstydu na wspomnienie chociażby mojej pracy u starego Sonenfelda. Cóż ja tam, u Boga Ojca, projektowałem! Fabryczki cukierków i kamienice czynszowe! Nb. jedna z nich do dziś stoi — już Ci nie powiem na jakiej ulicy — jako pomnik mojej hańby. Ale cóż, trudno. Pan (Sonenfeld) kazał, sługa (niżej na szczęście niepodpisany) musiał. Takie było prawo epoki, o której Szulecki wie z podręczników i z mglistych wspomnień dzieciństwa. „Myśl stanowi wielkość człowieka“ — powiada Pascal.

Zacytowałem mego ukochanego Blaise i przypomniałem sobie dzisiejsze kazanie. Ten jowialny, przyjemny księżulo o wyglądzie księdza Browna zacytował nagle Pascala i przez to stał mi się bardzo bliski. „Ksiądz Brown“ ma kazanie co drugą niedzielę, nie jest Demostenesem, ale mówi dość jasno i logicznie. „Człowiek wyraźnie stworzony jest do myślenia, to cała jego godność — powtarzał ksiądz za Pascalem — cała zaś jego zasługa i cały obowiązek to myśleć, jak się należy. Otóż porządek myśli jest ten, aby zacząć od siebie i swego Stwórcy, i swego celu“.

Kiedy myślę o swoim celu doczesnym, to wygląda na to, że go osiągnąłem. Czuję swą użyteczność, swoją wyraźną rolę w społeczeństwie, któremu nareszcie we właściwy i chyba jedynie słuszny sposób służę swoją wiedzą. Ale kiedy zastanawiam się nad nieuchronnym (bądź co bądź i właściwie już nie tak bardzo odległym) ostatecznym celem — nie widzę nic, co by przemawiało na moją korzyść. Same pasywa. Jak leniwy i źle przygotowany uczeń stanę przed moim Nauczycielem. A najsmutniejsze jest to, że do tego wniosku dochodzę dopiero teraz, kiedy pozostaje już tylko żal i skrucha. Tak, Martuś, to są starcze jeremiady człowieka, którego całą wiedzą życiową jest uświadomienie sobie, że właściwie nie umiał żyć... Paradoksy... Paradoksy...

I jeszcze słowo o dzisiejszym koncercie. Mimo wszystko Szymanowskiego nie rozumiem — brak wykształcenia muzycznego. Beethovenowski „Prometeusz“ wspaniały. Koncert skrzypcowy Paganiniego, wymagający nie lada techniki, jest pełen uroku.

Czytam książkę o Leonardo da Vinci.

29 III. W piątek byłem na przemiłym spotkaniu mieszkańców Warszawy ze znajomymi architektami inż. inż. Brukalskim, Ptaszyckim i Stępińskim. Jestem zdumiony rzeczowymi wypowiedziami warszawiaków na temat niektórych błędów, popełnionych przy budowie stolicy. Krytykowano biurowce na Kruczej, która wieczorem wygląda ponuro i smutno. Podkreślono usterki MDM-u. Inż. Ptaszycki mówił niezwykle interesująco o zakrojonej na niespotykaną u nas nigdy dotąd skalę budowie Nowej Huty...

Wczoraj otrzymałem list od Stefana. Ucieszyło się ojcowskie serce, że jednak chłopak pamięta o mnie. Tylko — ten list jest jakiś naprawdę dziwny. Stefan pisze, że nareszcie znalazł odpowiednią dla siebie pracę. Ponieważ wiem, że w czasie wojny był w RAF-ie, więc chyba jest w lotnictwie, ale gdzie, w jakim? W ogóle list jest jakiś nazbyt lakoniczny, choć — co prawda — Stefan nigdy nie był zanadto wylewny. Ma to zresztą po matce. Jej skrytość była przyczyną wielu nieporozumień między nami. Obawiam się, żeby Stefan nie wlazł w jakąś awanturę polityczną, bo nie sądzę, żeby latał jako cywilny pilot. Tam, na Zachodzie, lubią się nami wysługiwać. Poślą go jeszcze na jaki zakazany teren walk kolonialnych. Nie wiem, nic nie wiem. Nie podoba mi się to wszystko. Gotowi zmarnować mi chłopaka, a wiesz, jak go kocham. Najdziwniejsze, że nie podał żadnego adresu, na który mógłbym do niego napisać. To wszystko jest takie przygnębiające. Ach, Marto, Marto...

A dziś, dziś — w Palmową — był niezwykły tłok w kościele, i nagle zrobiło mi się niedobrze. Oczywiście, kochane serduszko. Ostry, przenikliwy ból. Trzeba pogodzić się z kardiologiem i zastosować się do jego wskazówek. *Nota bene* — czego ono ode mnie chce? Dawno już rzuciłem palenie — pamiętasz, wtedy latem, jak mnie prosiłaś — alkoholu ani innych podniecających środków nie używam. Ach, prawda. W sobotę byłem z Szuleckim na kawie. Czyżby to? W każdym razie czuję się nieszczególnie. Trzeba iść spać. Dobranoc, Marto.

6. IV. Ogromnie jestem ciekaw, jak Ty spędziłaś okres przedświąteczny i oba dni Świąt. Jeśli chodzi o mnie — miałem, jak zwykle na Święta, jechać do siostry, ale pomny na zalecenia poczciwego dra Biernawskiego, któremu bardzo się nie podobała praca mego mięśnia sercowego, zostałem w Warszawie. Nakupowałem sobie wiktuałów, zaopatrzyłem się w prasę i książki i... prawie cały pierwszy dzień przesiedziałem u Szuleckich. Jego młoda żona jest równie miła, jak on, a malutka Krysia wręcz zachwycająca. Ojciec Szuleckiego jest kolejarzem. Ma około sześćdziesięciu lat i ani myśli o przejściu na emeryturę. (A ja — o hańbo — odgrywam rolę zmęczonego życiem Matuzalema).

Czwartkowa spowiedź nie przyniosła mi oczekiwanego spokoju i odprężenia. Zbyt jeszcze mało mam w sobie pokory. Niecierpliwiło mnie zachowanie penitentów, z którymi oczekiwałem w swej kolejce. Rozczarował mnie pośpiech i niemal mechaniczny sposób spowiadania, jaki zauważyłem u młodego księdza. Wiem, że przykładanie wagi do akcesoriów, z którymi związany jest Sakrament Pokuty, daje mi najgorsze świadectwo. A jednak... Cóż na to poradzę? Jestem szczery. Jakże mi daleko do owej świętości, o której tyle czytałem, którą obserwowałem u innych ludzi. Wszystko, cokolwiek robię, wydaje mi się sztucznym pozowaniem na przykładnego katolika. Nawet jakieś drobne umartwienia. Nawet — to szczególnie — próby wyrzeczeń. Oto wyrzekłem się Ciebie, Marto, bo nie wolno mi było uczynić inaczej. A mnie się, nieszczęsnemu, wydaje, że dokonałem heroicznego czynu. „Popatrz, Panie Boże, jaki jestem doskonały!“ Tak, tak, faryzejska to doskonałość. A w gruncie rzeczy tego, co jak mówi Pascal, jest najlepsze w człowieku — myśli swojej — nie mogę oderwać od Ciebie. A więc jakież to wyrzeczenie. Powierzchowne, zakłamane. Marto, Marto!

O ileż zawsze byłaś silniejsza ode mnie. Nawet zaginięcie Twego męża w kampanii wrześniowej i śmierć syna nie zdołały Cię załamać. My-

WITOLD OSTROWSKI

Powieść o KOBIECIE CZYSTEJ

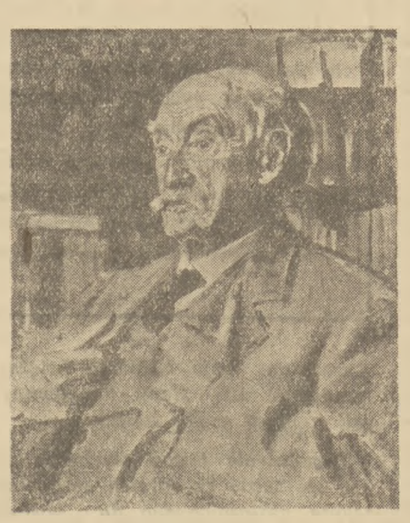

Tomasz Hardy

DZIAŁO się to gdzieś w drugiej połowie XIX w. Cała historia zaczęła się od tego, że pewnego majowego wieczoru wiejski pastor, wracając z miasta, powiedział zdążającemu do domu wiejskiemu handlarzowi, że ten pochodzi z podupadłej rodziny szlacheckiej d'Urberville'ów, których nazwisko wymowa wiejska przekręciła na Durbeyfield. Staremu pijaczynie przewróciło się w głowie na myśl, że jego przodkowie spoczywają w rzeźbionych sarkofagach kościoła w Kingsbere. Jego równie mądra małżonka dowiedziała się, że w jednym z okolicznych dworów mieszka bogata pani d'Urbeville. Powstał plan wysłania córki Tessy do „krewnych“ dorobkiewiczów, którzy przybrali imię rodu uważanego za wymarły — aby mogła wyjść w przyszłości za dżentelmena. Piękna, młodziutka Tessa, „naczynie pełne uczuć niezaprawionych doświadczeniem“, została niemal wypchnięta z domu na pastwę życia...

Dalsze jej dzieje są treścią *„Tessy d'Urberville“**) (powinno być *„Tessy z rodu d'Urberville'ów)*, powieści Tomasza Hardy'ego, która swym ukazaniem się w przekładzie przypomina polskim czytelnikom o istnieniu zapomnianego u nas pisarza, wielkiego pisarza, który wraz z George Meredithem otworzył nowy rozdział historii powieści angielskiej pod koniec XIX w. W rozdziale tym można znaleźć nazwiska R. L. Stevensona, J. Conrada, R. Kiplinga, A. Bennetta, H. G. Wellsa i J. Galsworthy'ego obok mniej w Polsce znanych G. Gissinga, G. Moore'a oraz wspomnianych już Meredith a i Hardy'ego, którzy znaczeniem i artyzmem wcale nie ustępują swoim kolegom o światowej sławie.

TWÓRCZOŚĆ HARDY'EGO

TOMASZ Hardy umarł niedawno — w 1928 r. Urodził się w r. 1840 w pokrytej pyłem przeszłości małej wiosce niedaleko Dorchester, głównego miasta w hrabstwie Dorset w południowej Anglii. Jako syn miejscowego budowniczego podjął zawód ojca, ale wkrótce zabrał się do pisania i włożył swe zdolności konstrukcyjne w powieści i wiersze.

Pierwszą dojrzałą książką Hardy'ego była powieść *„Pod drzewem, pod zielonym“ (Under the Greenwood Tree“)*, wydana w r. 1872. *„Z dala od szalejącego tłumu“* zdobyło pisarzowi popularność. *„Ręka Ethelberty“* (1876) była rzeczą słabszą, ale *„Powrót do rodzinnych stron“ („The Return of the Native“*, 1878) stanowił jedno z najwybitniejszych dzieł Hardy'ego. W r. 1880 wyszedł *„Trębacz“ („Trumpet Major“)*, w następnym *„Laodycejka“*, po której Hardy napisał *„Dwoje na wieży“* (1882). Rok 1886 ujrzał nowe wielkie dzieło pt. *„Burmistrz Casterbridge“ („The Mayor of Casterbridge“)*. Powieść *„The Woodlanders* (1887) i zbiór opowiadań pt. *„Opowieści z Wessexu“* (1888) poprzedziły sławną *„Tess of the d'Urbervilles“* (1891).

Po tej powieści Hardy wydał dwa zbiory nowel: *„Grupę dam z arystokracji“* (1891) *„Drobne ironie życia“* (1894) i ostatnią powieść pt. *„Jude the Obscure“* (1896), której krańcowy pesymizm i okrutna scena powieszenia małych dzieci przez niewiele od nich starszego braciszka wzbudziły jeszcze większe oburzenie niż *„Tessa“*.

„Juda nieznany“ zamknął okres twórczości powieściowej Hardy'ego. *„Wessex Poems“* otworzyły okres poezji. Hardy wystąpił jako zdolny poeta. Najwybitniejszym jego dziełem tego kresu jest udramatyzowany epos poetycki pt. *„Władcy“ („The Dynasts“* próba stworzenia własnej historiozofii na tle dziejów napoleońskich. Eseje i udramatyzowane nowele uzupełniają przykłady możliwości artystycznych tego pisarza.

PROBLEM CZYSTOŚCI

WRÓĆMY jednak do Tessy. Jej wizyta u nowych d'Urberville'ów skończyła się tragicznie. Mimo jej ostrożności i oporu, młody panicz Alec, korzystając z okoliczności, uwiódł ją.

Ucieczka od krzywdziciela, śmierć dziecka, opuszczenie rodzinnej wioski, praca na wzorowej fermie mleczarskiej, spotkanie młodego dżentelmena - farmera Angela, wzajemna miłość i rozstanie po wyjawieniu bolesnej tajemnicy przeszłości, tworzą dalsze nawarstwienia chmur zbierającej się burzy, której wybuch przyśpieszony zostaje nędzą rodziny Tessy, dalszą podłością Aleca i małodusznością Angela Clare. Tessa kończy pełne bólu życie haniebną w pospolitej opinii śmiercią.

To pobieżne wyliczenie pewnych tylko faktów nie daje oczywiście pojęcia o wartości książki. Trzeba ją przeczytać, aby właściwie ocenić. W pamięci czytelnika zostaje na zawsze jasna, smutna a przecież ciepła, delikatna lecz dzielna, pełna wdzięku duszy i ciała, prosta i świeża dziewczyna z południowej Anglii, którą spotkało zbyt dużo cierpienia za nic. Tak prawdziwe w ograniczeniu klasowym a jednocześnie tak promiennie i subtelnie kobiece bohaterki z ludu stworzyli później w literaturze angielskiej tylko Gissing (*„Thyrza“*) i Bennett (*„Riceyman Steps“*).

Pospolity dosyć w XIX wieku motyw uwiedzenia dziewczyny z ludu przez młodego dziedzica lub arystokratę, występujący już u Dickensa w *„Dawidzie Cooperfieldzie“*, u George Eliot w *„Adamie Bede“*, u Meredith a w *„Rodzie Fleming“*, Tomasz Hardy przetworzył w dzieło bogate w problemy żywe dla każdego człowieka.

Jeden z nich, to problem czystości. Kładąc słowa „kobieta czysta“ w podtytule autor rzucił w r. 1891 wyzwanie ówczesnej moralności. W oczach późnowiktoriańskich czytelników Tessa była właśnie kobietą „nieczystą“, „splamioną“, „upadłą“. Tak samo patrzyli na nią jej bliźni w powieści, wyznawcy tradycyjnej moralności „chrześcijańskiej“, jak i niewierzący, którzy odrzucili zasady wiary, ale w typowy dla wiktoriańskiej burżuazji sposób starali się zachować protestancką praktykę moralną. Tak właśnie postąpił Angel Clare, opuszczając kobietę, która go kochała i którą on kochał, dlatego tylko, że została

*) Tomasz Hardy, „Tessa D'Urberville“, PIW, 1954, str. 508+1 nlb.

Rysował BOHDAN ŚLESKIN

EGZAMIN

ślę, że taki sam podziw i szacunek żywią dla Ciebie Twoi uczniowie, z których niejeden wyszedł dzięki Tobie, jak się to mówi, na ludzi.

Kiedy niemal dokładnie rok temu przyjechałaś do Warszawy i widzieliśmy się po raz ostatni, był to dzień Twego wielkiego triumfu. Gdy po uroczystości poszliśmy na obiad, powiedziałaś: „No, do odjazdu mam jeszcze sześć godzin... Należą one do moich serdecznych przyjaciół". Byliśmy potem w kawiarni i na koncercie. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, o Twojej i mojej pracy, o wspólnych znajomych, słuchaliśmy cudownego koncertu Griega. I tak się składało, że nie starczyło nam czasu na omówienie tej najważniejszej sprawy. Nie starczyło czasu? Nie starczyło mi odwagi. Po prostu stchórzyłem. Albo nie. To jeszcze nie to. W Twoich oczach wyczytałem odpowiedź, zanim padło moje pytanie. Myśmy się jednak, Marto, bardzo dobrze rozumieli w wielu sprawach, dlaczego nie mielibyśmy się rozumieć w tej, tak dla mnie żywotnej?

Z okna odjeżdżającego wagonu powiedziałaś mi jeszcze: „Dziękuję Ci, Paweł!" Wtedy już wiedziałem, za co mi dziękujesz. Za moje milczenie. Dziś, z perspektywy roku zdaję sobie dobrze sprawę z faktu, że to Ty, a nie ja, miałaś rację. Tak trzeba było. Ale musiał upłynąć ten właśnie rok, abym zrozumiał słuszność Twojej decyzji. No, cóż. Słusznie powiada mistrz Leonardo: *„Non si debbe desiderare lo impossibile"*...

A samotność? O, Ty jej się nie potrzebujesz lękać — wiem o tym. Nie tylko szkoła, w której uczysz, pełna jest młodzieży. Mówiłaś jeszcze, że oni, ci chłopcy i dziewczęta, ciągle Cię odwiedzają, szukają rady i pomocy. Mówiłaś, że poza nimi nie widzisz swego miejsca na ziemi...

A ja? Też mam zawód, do którego bądź co bądź przez dwadzieścia lat można się było przyzwyczaić. „W chwilach wolnych od zajęć" myślę o moim synu i wtedy ogarnia mnie niepokój i smutek, a kiedy myślę o Tobie, czuję się jakoś raźniej, choć strasznie mi brak Ciebie, Marto... No, ale jak to już zostało ustalone — *„Non si debbe desiderare..."*

Jest późno. Czas kończyć tę świąteczną rozmowę z Tobą. Jutro (a właściwie już dziś) po dwudniowym odpoczynku znowu do pracy. Pamiętaj, że jeśli przejawiam jakąś energię (a Szulecki powiada, że tak), to sprawia to nie tylko umiłowanie zawodu. Jest w tym ogromna zasługa Twoja, Droga Marto. Dzięki Tobie zrozumiałem, że ważne jest nie tylko, jak się pracuje, ale również — dla kogo się pracuje.

12 IV. Bogata jest warszawska wiosna. W naszym „zagłębiu budowlanym" ruch na całego. Ileż wydarzeń—nie licząc już codziennej pracy w projektowni—które ciągle od nowa cieszą i afirmują moją starą „architektoniczną" duszę. Oto co jest przedmiotem mego podziwu i — co tu ukrywać — zachwytu. W tym rozmachu jest jakaś niezwykła potęga. Obok takiego tempa nie można przejść obojętnie. I nie przechodzi się. Nawet ja — nieszczęsny ongiś pracownik od Sonenfelda — złożyłem mój podpis pod zobowiązaniem pierwszomajowym (Nb. w dzisiejszych gazetach m. in. wspomniano i o naszej projektowni). Jest oczywiście zrozumiałe, że przy budownictwie zakrojonym na taką skalę (zwłaszcza mam na myśli budownictwo mieszkaniowe) zdarzają się nielada usterki. Brakoróbstwo, niechlujstwo poszczególnych murarzy, stolarzy czy instalatorów daje się we znaki mieszkańcom osiedli. Ale czyż wyskoki brakorobów umniejszają zasługi setek tysięcy uczciwych budowniczych? Otóż dziś najlepsi z tych budowniczych rozpoczynają obrady w ramach I Krajowej Narady Architektów. Do Warszawy zjechali się wybitni architekci z Moskwy, Berlina, Pragi, Bukaresztu, ba, z Chin i Korei. Strasznie żałuję, że kiedy w naszej projektowni gościli w sobotę dwaj mili Koreańczycy — tak ich określił Szulecki — architekci - projektanci Phenianu, właśnie wtedy byłem na mieście. Żałuję, hm, a Ty byś na pewno nie żałowała... Twoje „troski i kłopoty" dotyczyły przeważnie zagadnień węzłowych, którymi wszyscy żyjemy. Rzadko natomiast — a może i wcale nie interesowałaś się swoimi kłopotami, swoimi zmartwieniami, nawet swoimi utarczkami z biurokratycznym podejściem Twoich niektórych zwierzchników. Tam, gdzie w grę wchodziła Twoja osoba, mówiłaś zawsze krótko: „To nieważne".

Odczytuję napisane kartki i stwierdzam, że niezależnie od tego, jaki na nich poruszam temat, nieuchronnie wracam do Ciebie — co brzmi już niemal jak Katonowe *„Caeterum censeo"*. Ale jak widać, łatwiej było zburzyć Kartaginę niż pamięć o Tobie w moim sercu...

19.IV. Tydzień ciężki, męczący. Tu już bym nie mógł, idąc za Twoim przykładem, powiedzieć: T o n i e w a ż n e. Bo za nieważną (choć wysoce denerwującą) uważać można wtorkową wizytę Sosnowskiego u mnie, który przyszedł niby to po swoją książkę (rzeczywiście, zapomniałem mu ją oddać), a w gruncie rzeczy prosił mnie na świadka do sądu... Rzecz jasna, będzie odpowiadał (z wolnej ręki) za swoje sprawki w spółdzielni budowlanej. No i jakże mogłem świadczyć za nim, że to człowiek o nieskazitelnej uczciwości, kiedy, Bogiem a prawdą, wiem, że tak nie jest. Poszedłbym łgać przed sądem — w jakim celu? Żeby zacny inżynier nadal oszukiwał... Odmówiłem. Wtedy pan Sosnowski powiedział, że nie spodziewał się t e g o (czego?) po swym dawnym (dobrze, że choć „dawnym") koledze, że jeszcze nadejdzie czas, kiedy i on (Sosnowski) będzie niejednemu potrzebny, że modlę się pod figurą itd. itd....

Więc powiadam: wizyta w najwyższym stopniu przykra, ale to naprawdę nieważne... Gorzej było we środę. Pracowałem wyjątkowo długo. Wiosennym zmierzchem szedłem po Nowym Świecie i nagle... (Marto, uważaj!). Przechodzi koło mnie wysoki, przystojny młody człowiek, ubrany w gabardinowy płaszcz i jasny kapelusz. Czoło, oczy, nos, usta... No, przecież Stefan! Przysiągłbym, że Stefan. Nie widziałem go ile?... Przeszło dziesięć lat, ale już wtedy był wysoki i wyrośnięty. Młody człowiek minął mnie. Obejrzałem się. Stanąłem. Patrzyłem za szybko oddalającą się sylwetką. Dlaczego nie dogoniłem? No, trudno mi to teraz wytłumaczyć. Pomyślałem sobie: halucynacja. Zwykła halucynacja. Skąd Stefan może być w Warszawie? Nonsens. Zna mój adres, więc gdyby nawet i przyjechał — byłby u mnie. Potem postanowiłem jednak zagadnąć młodego człowieka. Ale zanim się zdecydowałem — wszystko trwało o wiele, wiele krócej, niż to dziś opisuję — po człowieku w gabardinowym płaszczu nie było już śladu. Cały tydzień rozmyślałem nad tym faktem i dochodzę do wniosku, że to najprawdopodobniej była halucynacja. Ot, zwykłe podobieństwo. Mogę ja mieć swego sobowtóra, mógł ten pan być po prostu podobny do mego syna. W każdym razie przeżyłem dość niezwykłą i ryzykowną dla mego serca emocję. Pomyśl, Marto, czy to mógł być Stefan? No, sama widzisz, że to nonsens.

Jeśli to było złudzenie, wywołane zmierzchem, zmęczeniem i przypadkowym podobieństwem, to wszystko było naprawdę nieważne. Ale jeśli to był rzeczywiście on, to co? Jakiejś fatalnej aktualności nabiera teraz dla mnie to Pascalowskie zdanie: „Człowiek jest tylko trzciną, najwątlejszą w przyrodzie, ale trzciną myślącą". Bo nie mogę nie myśleć o tym (zdawałoby się błahym) zdarzeniu. Myślałem o nim nawet dziś — w kościele, gdzie jak nieproszony gość ta myśl wkradła się w skupienie modlitwy.

Ułomność ludzka skłania się częściej ku modlitwie błagalnej. Nie zawsze stać ją na pochwalną. Tak tedy błagałem dziś Pana, aby t o n i e b y ł S t e f a n... (Widzisz, Marto, jakie modły zanoszą czasem ojcowie do Boga). Czekałem na syna tyle lat, marzyłem o chwili, kiedy go powitam. A oto... Nie wierzę w przeczucia, nie wierzę w znaki wróżebne, jestem wolny od przesądów. A oto — czuję lęk. Lęk podświadomy, bo nie oparty na żadnej realnej przesłance. Czuję, że j e ś l i t o b y ł o n... Oto co robi z człowiekiem wadliwe funkcjonowanie mięśnia sercowego. Moje wizyty u kochanego dra Biernawskiego są stanowczo za rzadkie. I jeszcze, Marto, nigdy może więcej, niż właśnie dziś, nie brakowało mi Twojej obecności. Twojego rzeczowego ujmowania spraw. Twojego spokoju i opanowania. „Co ci jest, Pawle? Czego się lękasz?" — zapytałabyś głosem, który tak dobrze znają Twoi uczniowie. I wówczas musiałbym Ci odpowiedzieć wprost: Widzisz, Marto, jeśli to był on, Stefan, to zastanawia mnie fakt, skąd się wziął w Warszawie? Po prostu: właśnie skąd? Dlaczego nie napisał, że przyjeżdża? Dlaczego nie dał mi doznać radości oczekiwania swego powrotu? Wtedy uśmiechnęłabyś się pobłażliwie i na pewno powiedziałabyś tak: „Czy ty, Paweł nie przeceniasz przypadkiem faktu przelotnego ujrzenia na ulicy kogoś, kto przypomniał ci syna, którego zresztą nie widziałeś tyle lat?"

Jest we mnie, Marto, przeczucie wielkiego cierpienia, które albo hartuje, albo spala na popiół. Chwilami myślę, że Stefan umarł, choć nic mi o tym nie wiadomo. Niepokój o jego los w połączeniu ze spotkaniem łudząco do niego podobnego człowieka — nie może nastrajać mnie pogodnie.

Była u mnie moja siostra Ewa i rzeczowo stwierdziła, że ostatnio bardzo się zmieniłem. „Postarzałeś się, Pawełku, czy aby nie jesteś chory? Dlaczego nie byłeś u nas na święta? Mieszkasz tu, jak pustelnik i pewno czymś się gryziesz..." No, cóż, to wszystko prawda. I postarzałem się, i serce „nawala", i „gryzę się".

Marto, dlaczego nie jesteś teraz przy mnie?

27 IV. Kiedy Szulecki zapytał dlaczego mi tak ostatnio drżą ręce i jestem roztargniony, czyż mogłem mu odpowiedzieć, że to piątkowe spotkanie z Helldorfem tak mnie rozstroiło? Helldorf powiedział mi... Ale cóż, Marto, ty lubisz systematyczność. Bądźmy więc systematyczni. Teraz już wszystko jedno... Mam jeszcze sporo czasu na swój egzamin. Muszę się do niego odpowiednio przygotować. A w tym celu potrzebne jest opanowanie i jasność myśli. Więc słuchaj, Marto. Dwa dni temu do restauracji, gdzie zwykle jadam obiady, wpadł Helldorf. On zawsze wpada, a nie wchodzi. Jest mały, nerwowy i gwałtowny w ruchach. Poznałem go jeszcze w czasie okupacji, w Wilnie. Helldorf, który nieraz przestrzegał Sosnowskiego, że czasy businessów minęły w Polsce bezpowrotnie, jest bardzo przejęty sprawą sądową, w której występuje jako świadek. Przysiadłszy się do mego stolika, zreferował mi przebieg procesu Sosnowskiego i spółki, a potem nagle zaskrzeczał: „Ach, inżynierze, byłbym zapomniał. Ależ miałem przygodę. W „Galluxie" na MDM-ie wybieram sobie krawat, patrzę w bok i aż mnie zatknęło. Facet kropla w kroplę jak pański syn. Rozumie się, ogromna różnica od czasu, jak go ostatnio widziałem w Wilnie". „Ależ niemożliwe, przywidziało się chyba panu" — przerwałem mu niezbyt uprzejmie, ale starając się nie dać poznać po sobie, jakie to na mnie zrobiło wrażenie. „No, może i przywidziało się. Ja dochodzę do niego i pytam zwyczajnie, czy czasem nie jest pańskim synem. To gość spojrzał na mnie z góry i powiada: „Pan się chyba omylił". I już go w sklepie nie było". — „Pan się na pewno omylił" — powiedziałem do Helldorfa, usiłując sparodiować jego interpretację odpowiedzi zagadniętego w sklepie człowieka. Jednocześnie uczułem, że serce podchodzi mi pod gardło. To jest, Marto, śmieszne powiedzenie, ale czasem ma się takie uczucie. Wiecznie spieszący się Helldorf wysłuchał jeszcze mojej informacji o rzadkich listach od Stefana, który jest na Zachodzie, potem sam zaczął wyliczać, ile to lat miał Stefan, jak byliśmy w Wilnie, potem powiedział jeszcze coś na temat łudzących podobieństw między ludźmi... Słowem, pogadał, pogadał i widząc, że nie wyrażam chęci kontynuowania dyskusji, ulotnił się. Wtedy u mnie nastąpiła reakcja. Bałem się wstać od stolika, bo cały lokal wirował mi przed oczami. Tak, Marto, teraz już wiedziałem, że Stefan przebywa w Warszawie i dla jakichś sobie tylko znanych powodów ukrywa swą obecność. Zwolna, lecz nieodparcie krystalizuje się we mnie przekonanie, że w tym jego przyjeździe kryje się coś nieodwołalnie haniebnego i złowieszczego. Konkretnie — liczę się z możliwością, iż Stefan został tu przysłany przez swoich zwierzchników. W jakim celu — domyśleć się nie trudno... Wiem, że moim obowiązkiem jest powzięcie jakiejś decyzji, która by w konkretny sposób wyraziła mój protest. Odrzuciłem jednak takie możliwości, jak np. wędrówki po mieście w celu ponownego spotkania Stefana i... cóż by to dało, jeśli jest zdecydowany na wszystko. Również nie mogę — przynajmniej w tej chwili — zawiadomić władz. (Postanawiam więc co innego). Wiem, że jesteś zajęta, jak co roku, przygotowaniami do obchodu pierwszomajowego. Ale sprawa, którą chcę Ciebie obarczyć, to nie tylko moja prywatna sprawa, to nie tylko kwestia mojej klęski życiowej... Dlatego postanowiłem zwrócić się do Ciebie i prosić Cię o radę. Co przedsięwziąć?

Zacytuję Ci jeszcze ostatni list Stefana. Może da Ci to jakieś wskazówki. Posłuchaj:

„Drogi Staruszku!

Korzystam z okazji, żeby Ci przesłać parę słów. Żyję, jestem zdrów, no i pracuję. Nie wszystko układa mi się tak, jak projektowałem. Życie jest cholernie skomplikowane i ma to do siebie, że jak się powie A, to trzeba chcąc nie chcąc powiedzieć B, a potem sam już leci ten przeklęty alfabet aż do Z. Czy Z znaczy: z w y c i ę s t w o — będę miał okazję niedługo się przekonać. I Ty też. Na razie — żegnaj. S."

To jeszcze był mój syn — a ten spotkany przeze mnie na Nowym Świecie i przez Helldorfa na Placu Konstytucji? Najgorzej dręczy mnie bezradność. Nie boję się o siebie, pragnę tylko, aby — jeśli już wszedł na drogę zła — uczynił go jak najmniej. Czekam na Twoją pomoc. Bo któż, jeśli nie Ty, pomoże mi w rozwiązaniu tej zagadki? A zresztą — to przecież nasza wspólna sprawa.

Gracjan Kozłowski

---

uwiedziona. To, że nie było w tym fakcie cienia winy ze strony dziewczęcia, że użyto siły, nie miało dla niego znaczenia. Pogańskie, czysto biologiczne pojmowanie cnoty czystości, ograniczanie jej do obowiązku kobiety jedynie, mechaniczne pojęcie grzechu, nie biorące pod uwagę intencji — to moralność w świecie Tessy, czyniąca z jej życia pasmo cierpienia. Najtragiczniejsze jest to, że sama Tessa, na mocy wychowania w błędnych pojęciach religijnych i moralnych, również wierzy, że jest kobietą potępioną nie tylko przez ludzi, ale i przez Boga. Tylko chwilami ciężar „kary" wydaje się jej za duży.

PROBLEM CZŁOWIEKA I PROBLEM BOGA

TEN problem moralny Hardy ukazuje na tle problemu społecznego. Czytelnik widzi wyraźnie uwarunkowanie losów biednej Tessy feudalnymi jeszcze stosunkami klasowymi na wsi angielskiej drugiej połowy XIX w., brakiem odpowiedniego oświecenia i wychowania, pozwalającym na krzewienie się przesądów, oraz biedą. Ci, którzy pochodzą z burżuazji, jak Alec i Angel, nie przynoszą wsi nic dobrego — przejmując od klasy niegdyś tam panującej albo brak zasad etycznych, albo zasady błędne.

Osaczony przez to, co stare i przez to, co było za jego czasów nowe, Hardy dopatruje się w tragedii Tessy d'Urberville tragedii losu. Przypadkowe spotkanie pastora z ojcem Tessy; przypadkowe spotkanie przez nią Aleca, gdy wracała do domu; niezauważony przez Angela list pod dywanikiem; opóźnienie wyjazdu wskutek choroby — to posunięcia złośliwego losu, prowadzące do katastrofy, przyspieszające ostateczną ruinę ludzkiego życia. Ten złośliwy los ma charakter osoby raczej niż siły. Hardy utożsamia go z Bogiem. „Przewodniczący Nieśmiertelnych... przestał już igrać z życiem Tessy" — mówi w zakończeniu z gorzkim patosem.

Nie ma w tym żadnej przenośni. Tomasz Hardy naprawdę wierzył w istnienie półślepego - półzłośliwego bóstwa, które nie tylko karze za wszelkie wykroczenie moralne, ale stokrotnie odpłaca za małą chwilę słabości, a dręczy pełnymi ironii przeciwieństwami losu nawet i tych, co nie zawinili. Nazywał je niekiedy Immanentną Wolą. Dla nowoczesnego czytelnika taka filozofia czy religia jest czymś wprost niewiarogodnym. Człowiek nowoczesny albo wierzy w nieskończenie mądrego i miłującego Boga, albo istnienia Jego nie uznaje. Jedno i drugie stanowisko ma swoją logikę. Wiara natomiast w jakieś niedobre bóstwo ma dla nas coś z prymitywizmu zamierzchłych czasów pogańskich, coś z błędnego koła pierwotnej mitologii greckiej.

Jak do tego doszło? Jak to się stało, że Hardy stworzył sobie filozofię tak niedostateczną pod względem filozoficznym? Należy pamiętać, że ostatnia dekada XIX w., to okres zwątpienia i pesymizmu. Tradycyjny sposób myślenia i postępowania, oparty przynajmniej w teorii na zasadach chrześcijańskich, zaczął ustępować pod naporem drapieżnego, burżuazyjnego materializmu, posługującego się odkryciami nauk przyrodniczych dla uzasadnienia kapitalistycznych praktyk. Jak Conrad i inni pisarze o głęboko etycznej naturze, Hardy nie znalazł w nowym „postępowym" porządku świata nic lepszego od porządku starego, znanego mu z wiejskiego zaścianka. Wysnuł z tego wniosek o powszechnym tragizmie bytu. Tylko — inaczej niż Conrad — nie dojrzał skutków grzechu pierworodnego w człowieku. Oskarżył natomiast Boga o okrutne postępowanie z ludzkością.

Organiczna skłonność do melancholii, przejęcie się duchem tragedii greckich (które powieści Hardy'ego tak przypominają), kalwińska tradycja zawistnego Boga, przeznaczającego kapryśnie jednych na potępienie, innych na zbawienie — to elementy, które złożyły się na filozofię Hardy'ego. Prócz nich ważną rolę odegrała pewna zaściankowość myślenia, którą zauważył Chesterton, streszczając Hardy'ego w ostrym skrócie jako „wiejskiego ateistę bluźniącego nad chłopakiem — idiotą".

HISTORIA I POEZJA WESSEXU

MIMO tej beznadziejnej filozofii — złagodzonej dopiero we *„Władcach"* stwierdzeniem, że „Bóg" się uczy dobroci od człowieka — powieści Hardy'ego są tak skonstruowane, że komentarz autorski nie zaciera prawdy życia. Gdy odrzucimy filozofię pisarza, pozostają fakty, realia, z których łatwo odtworzyć rzeczywisty sens zaobserwowanych przez niego zjawisk przyrodniczych, społecznych, moralnych I to właśnie, mimo wszystko, stanowi wielkość Hardy'ego, zalicza go do wybitnych przedstawicieli realizmu krytycznego.

Realizm Hardy'ego wyraził się w prawdzie psychologicznej postaci jego utworów. W *„Tessie d'Urberville"* nieprzekonywająca psychologicznie jest tylko sprawa nawrócenia się Aleca na tzw. *„evangelicalism.* Wszystkie inne są świetnie narysowane, związane z właściwą sobie klasą (w jej angielskiej odmianie, oczywiście), ze środowiskiem i zapleczem południowoangielskiej prowincji w okresie ponapoleońskim lub wiktoriańskim. Człowiek Hardy'ego jest bardzo konkretny a przez to bardzo ludzki. Mimo patetycznego odtwarzania wielkich spraw zwykłych ludzi pisarz ten nie pomija rysów i zdarzeń humorystycznych, umie zdobyć się na żart i satyrę.

Przedstawiając człowieka historycznego, Tomasz Hardy pokazuje nam przemiany cywilizacyjne — skutki nowych metod produkcji (np. żniwiarka i wzorowa mleczarnia w *„Tessie"*), rozwoju nauk przyrodniczych i fizykalnych, rozpowszechnienie się kolei, telegrafu, szkolnictwa — uchwycone na terenie, który znał od dziecka. Jako realista jest więc Hardy także historykiem cywilizacji.

Jest także pisarzem regionalnym. Tak jak w okresie romantyzmu Walter Scott wprowadził do literatury barwny obraz szkocko - angielskiego pogranicza a w okresie wczesno- i średniowiktoriańskim Dickens stworzył serię satyryczno-sentymentalnych ilustracji życia w regionie londyńskim, tak Hardy odmalował słowem znaczną połać południowej Anglii, której dał miano istniejącego tam niegdyś staroangielskiego państewka Wessexu.

Wessex Hardy'ego, którego mapę zawiera każda książka ze zbiorowego wydania jego utworów przez Macmillana, to rzeczywisty świat dzieciństwa, młodości i wieku dojrzałego pisarza — angielska prowincja, nietknięta bezpośrednio przez rewolucję przemysłową. To falujący kraj pastwisk ze stadami białych owiec, krętych dróg, okolonych kolczastym żywopłotem, prowadzących do białych wsi ze strzechami, nad którymi góruje kamienna, szara lub piaskowa, czworogranna wieża romańskiego lub gotyckiego kościołka; to trochę senne, czyste miasteczka i miasta w zieleni, ze średniowiecznymi katedrami, ruinami dawnych opactw, gospodami z czasów Szekspira a czasem nawet resztkami dawnych rzymskich murów i amfiteatrów. Siedziby ludzkie są tu wysepkami wśród rozległych pól, pastwisk i *moors* — górzystych pustkowi, dzikiego pobojowiska wichrów, nieurodzajnych połaci zarośniętych wrzosem, janowcem i tarniną, przeciętych krętymi rzeczkami o prastarych granitowych mostach. Najstarszym jednak pomnikiem przeszłości, liczącym kilka tysięcy lat jest Stonehenge — kamienne ruiny wielkiej świątyni słońca — na których tle Hardy umieścił scenę aresztowania Tessy — na wielkiej zielonej równinie Salisbury.

Wszystko to występuje w książkach Hardy'ego wiernie odtworzone. I chociaż nazwy geograficzne zostały przez autora zmyślone, utrzymał je w barwie prawdziwego Wessexu.

Na tle właśnie tego starożytnego regionu Celtów, Saksonów i Normanów występuje w powieściach Hardy'ego zbiorowość ludzka, wyrosła z przyrody i historii Wessexu. Tym tłem tłumaczy się schłopienie rodu d'Urberville'ów, zamiłowania antykwaryczne pastora Tringhama, często wspominane w *„Tessie"* tradycje, zwyczaje, zabobony, zabawy, sięgające nieraz czasów przedhistorycznych. Zresztą wszystkie książki Hardy'ego mogą służyć badaczowi jako źródło folkloru zapisanego, zanim nowa cywilizacja techniczna zmieniła nawet życie zapadłej wsi angielskiej.

Przy tym wszystkim Hardy jest wielkim malarzem pracy na wsi. Palenie chwastów, młocka, dojenie krów przedstawione są w *„Tessie"* w sposób nie tylko technicznie wierny, lecz i niezwykle plastyczny.

Mimo dokumentalnej wartości opisów, nie ciążą one na powieści. Nigdy nie wyradzają się w nudne sprawozdania, autor ich — trzeba o tym pamiętać — był poetą i patrzył na znany sobie świat żywym, świeżym okiem poety-realisty. Czasem przez użycie dyskretnej metafory, porównania lub zestawienia potrafił nadać opisom jakąś głębszą, poetycką lub filozoficzną treść, nie pozbawiając jednak rzeczy codziennych ich zwykłości:

„Pod wieczór następnego dnia dotarła do nieregularnego wapiennego płaskowzgórza usianego półkulistymi kopczykami, jak gdyby wielopiersna bogini Cybele rozłożyła się tam niedbale. Płaskowzgórze to ciągnęło się od doliny, w której się urodziła, aż do doliny, w której poznała miłość..."

Kiedy indziej efekt niezwykłej sugestywności zostaje osiągnięty wyłącznie przez precyzję widzenia, przez dojrzenie szczegółów, których najczęściej nie dostrzegamy. Nic dziwnego, że Wessex Hardy'ego jest krainą żywą, pełną otwartego nieba, powietrza, woni, światła — najczęściej zapadającego w mrok — i płowo - brunatnej ziemi.

OSTATNIE WRAŻENIA I WNIOSKI

PO przeczytaniu *„Tessy d'Urberville"* dominującym nastrojem jest nastrój smutku i współczucia. Współczujemy bohaterce i jej twórcy. Istnieje między nimi jakieś podobieństwo. Ta sama świeżość i prawość duszy przy smutnej, narzuconej przez zło społeczne filozofii życia, biednej i bezsilnej nawet w momencie buntu przeciw temu złu. Przy swojej szlachetności są oni pogańmi tylko dlatego, że chrześcijanie dokoła nich zawiedli. Nawet najlepsi z nich — jak zacni rodzice Angela — nie umieli wyzwolić się w pełni z ograniczeń klasowych. Ich kalwinizujący chrystianizm nie pozwolił im osiągnąć „wolności synów Bożych".

Katolicyzm raz tylko pojawia się na kartach *„Tessy"*, gdy w przystępie dzikiej fantazji Clare myśli o wstąpieniu do klasztoru. Ani postacie tej powieści, ani jej autor nie mieli o nim pojęcia. Musieli sobie tworzyć własne, tragiczne religie.

Przy dalszej refleksji nastrój współczującego smutku ustępuje jednak czemuś innemu. Prawda powieściowych zdarzeń bierze górę nad komentarzem autorskim, zaczynamy widzieć społeczne sprężyny smutnych losów Tessy i budzi się w nas postanowienie: „Takie rzeczy nie mogą się powtórzyć!" I w tym także leży wartość tej „historii kobiety czystej".

Witold Ostrowski

P. S. Przekład, w którym wyszła **„Tessa d'Urberville"** na rynek księgarski z Państwowego Instytutu Wydawniczego, jest poprawny. Rzadkością są takie potknięcia, jak zamiana ludowego tańca jiga na jakąś rzekomo polską gigę lub użycie wyrażenia w rodzaju „tu rozchodzi się". Natomiast widać, że tłumaczka nie orientuje się w terminologii wyznaniowej. **Low Church School** — to nie kościół **ewangelicki**, lecz kalwinizujące stronnictwo w kościele anglikańskim (str. 204). Rzekome święto **Matki Boskiej Kwietniowej** (str. 396, 428 i in.) — to po prostu święto **Zwiastowania**, obchodzone przed zmianą kalendarza w pierwszych dniach kwietnia. Należałoby także raz na zawsze skończyć ze śmiesznym i wprowadzającym w błąd zwyczajem stawiania na pierwszym miejscu nazwiska a na drugim imienia w objaśnieniach, gdzie nie ma listy alfabetycznej. Przy imionach i nazwiskach angielskich, które często występują w identycznej formie (np. **George** Washington i Lloyd **George**) zwyczaj ten — bardzo świeżej zresztą daty — jest szczególnie niewskazany.

Książkę zamyka kompetentne i pełne ciekawych szczegółów posłowie Grzegorza Sinki.

Wydając **„Tessę d'Urberville"** Tomasza Hardy'ego, PIW dobrze zasłużył się kulturze. Dziesięć tysięcy egzemplarzy książki rozeszło się tak szybko, że tylko z trudnością można było zdobyć egzemplarz recenzyjny. Jest to wskazówka, że potrzebne jest drugie wydanie. Jest to także znakiem, że należałoby pomyśleć o wydaniu innych arcydzieł klasyka i poety Wessexu, przede wszystkim **„Burmistrza Casterbridge"** i **„Powrotu do rodzinnych stron"**.

W. O.

TEATR — sprawą narodu

Artyści polscy w czasie spotkania ze studentami Uniwersytetu Moskiewskiego.

POWRACAJĄCEGO z odległej podróży witamy zwykle pytaniem: „No i co? Opowiedz, jak było?" Ponieważ pytanie to zbyt trudno byłoby postawić całemu zespołowi Teatru Polskiego, zwracamy się z nim do rektora Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, Jana Kreczmara, i wykładowcy PWST — prof. Aleksandra Bardiniego. Jak wiadomo, przyjechali oni niedawno ze Związku Radzieckiego, gdzie Teatr Polski przebywał na sześciotygodniowych występach.

— Głównym elementem oglądanych przez nas przedstawień w teatrach radzieckich — mówi Jan Kreczmar — jest realistyczna gra oparta na prawdzie psychologicznej, którą usiłuje się zawrzeć w formie uszlachetnionego gestu i słowa. Dotyczy to przede wszystkim sztuk klasycznych. Gdy te sztuki wystawia się u nas, prawda psychologiczna „potocznieje", staje się jakby mniej ważna. W związku Radzieckim zarówno reżyser jak i aktorzy starają się w sposób głęboki i wnikliwy wydobywać z tekstu sztuki jej najgłębszą treść.

— Przed wyjazdem do Związku Radzieckiego aktorzy polscy przebywali we Francji. Po obu tych wizytach niewątpliwie nasunęły się Panu jakieś uwagi porównawcze o teatrze francuskim i radzieckim...

— Nie mogę zbyt wiele powiedzieć o teatrze francuskim, bo podczas pobytu w Paryżu widziałem tylko „Grzegorza Dyndałę" oraz „Igraszki trafu i miłości". Nie mogłem także zapoznać się z repertuarem Théâtre Nationale Populaire w czasie jego bytności w Polsce, bo wtedy występowaliśmy w ZSRR. Jeżeli jednak chodzi o konfrontację typu pracy i charakteru obydwu teatrów dostrzegam zarówno pokrewieństwa jak i różnice. I tu, i tu podobny jest sposób podejścia do sztuk repertuaru klasycznego. Różnica zaś polega na tym, że w Związku Radzieckim poświęca się mniejszą uwagę kompozycji plastycznej poszczególnych scen, gdy we Francji jest wręcz przeciwnie. Tam każdą kompozycję figuralną sceny można by uwiecznić na płótnie, a może raczej w kamieniu czy brązie. Wpłynęły na to niewątpliwie wielkie tradycje plastyki francuskiej. Jeżeli chodzi o nasz teatr, „obowiązuje" zasada złotego środka. W Związku Radzieckim widz zżył się z takim teatrem, jakim jest on w tej chwili. Swoje mocne przywiązanie wyraża w sposób wręcz żywiołowy. Publiczność po zakończeniu spektaklu podbiega do sceny i wywołuje ulubionych aktorów. Tak było i z nami.

— Czy mówiąc o reakcji publiczności, może Pan jednocześnie nawiązać do Waszych występów paryskich?

— Dość trudno porównywać reakcję publiczności opierając się na naszych przedstawieniach. Ogólnie biorąc, w Paryżu nie spotykaliśmy się z tak masowym entuzjazmem, jaki miał miejsce w Moskwie czy Leningradzie. Mogę zupełnie śmiało powiedzieć, że takiej publiczności, jak w Związku Radzieckim nigdzie nie spotkałem.

Tak, widz radziecki to całe zagadnienie. U nas idzie się do teatru, by obejrzeć sztukę a nie grę aktorską. Nowe, często odkrywcze kreacje aktorskie przechodzą często w Polsce bez echa. Nawet w prasie. W ZSRR natomiast właśnie przede wszystkim obsada odbija się na frekwencji. Publiczność długo i żywo dyskutuje nową kreację, jednakowo interesuje się tym, co daje teatr jak i autor sztuki... Weźmy na przykład taką choćby sprawę. U nas nie pisze się zazwyczaj w afiszach, kto w jakiej roli występuje. W Związku Radzieckim niezwykłą popularnością cieszą się tzw. „Dekady" będące w istocie programem teatrów na najbliższych dziesięć dni. Podane są tam codzienne obsady aktorskie, a bez „Dekady" widz radziecki w ogóle do teatru się nie wybiera.

— A jakie są „mniej teatralne" wrażenia, które odniósł pan podczas pobytu w Kraju Rad?

— W Związku Radzieckim byłem już po raz drugi i właśnie dlatego mogę oprzeć bezpośrednie wrażenia na skali porównawczej. Przede wszystkim rzuca się w oczy olbrzymi wzrost stopy życiowej. Nie mogę również przemilczeć rozbudowy Moskwy. Gdy byłem tam cztery lata temu, budowano trzeci wysokościowiec. Dzisiaj jest ich osiem. Wysokościowce zdecydowanie zmieniają panoramę miasta, obserwowaną z tarasu uniwersytetu na Wzgórzach Leninowskich.

*

REŻYSERA Teatru Polskiego, prof. Bardiniego, wcale nie łatwo spotkać. Po wielu wreszcie poszukiwaniach udaje się nam zastać wybitnego pedagoga i reżysera teatralnego.

— Czy mógłby Pan nakreślić obraz życia teatralnego w Związku Radzieckim na podstawie niedawnych obserwacji poczynionych w Moskwie, Leningradzie i Kijowie?

— To może zbyt trudne pensum na krótki wywiad. Wolę więc podzielić się uwagami na temat konfrontacji: mego wyobrażenia o tym z obserwacjami rzeczywistości. A życie teatralne jest tam niezwykle bujne. W Związku Radzieckim zrealizowany został w pełni postulat wyrażający się w twierdzeniu, iż nie ma teatru bez widza. Na specjalne podkreślenie zasługuje intensywny udział widzów w życiu teatralnym i dlatego teatr nie przestaje być sprawą narodu. Ludzie radzieccy streszczają ten pogląd w trzech słowach *tieatr — narodnoje dieło*. Genezy społecznej tego zjawiska należy doszukiwać się chyba (jest to moje osobiste zdanie) w czasach carskiego reżimu. Właśnie wtedy, gdy scena przemycała w utworach wielkich twórców rosyjskich postępowe tendencje społeczne, narodziło się to wielkie umiłowanie teatru.

W porównaniu z naszym teatrem uderza niezwykle silna organizacja życia teatralnego w ogólności a pojedynczych organizmów teatralnych w szczególności. Na przykład zespół teatru Wielkiego w Moskwie liczy około 2 000 osób, a mechanizm teatru działa z precyzją zegarka.

— Gdy mówi Pan o organizacji teatru nasuwa nam się pytanie, jak wygląda organizacja szkół teatralnych, dostarczających nowych kadr teatrom?

— Największa liczba szkół aktorskich grupuje się w Moskwie, jak np. szkoła im. Szczukina przy teatrze im. Wachtangowa. Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej grupuje studentów z całego Związku Radzieckiego. Przy Instytucie istnieją tzw. studia narodowościowe, w których studiuje młodzież przybywająca z różnych republik Związku Radzieckiego. Obserwacje nasze były niepełne, wydaje się nam jednak, że najwyższy poziom nauczania jest w Studio teatru MCHAT.

— Z jaką oceną spotkały się występy naszego teatru?

— Trudno powiedzieć na ten temat coś nowego... Ocena stylu gry sprowadzałaby się do dwóch punktów. Przy szerokim wachlarzu repertuarowym, urozmaiconym jeszcze dzięki temu, że każda z siedmiu sztuk była opracowana przez innego reżysera, podkreślano dużą kulturę uwidoczniającą się we wszystkich odmianach stylu gry aktorskiej i koncepcji reżyserskich. Pozytywnie oceniono również dobre opanowanie rzemiosła aktorskiego wykonawców... Uważam, iż jednym z największych osiągnięć naszego teatru był podkreślany przez kolegów radzieckich fakt znaczenia obopólnej wymiany doświadczeń.

Najwięcej korzyści przyniosły nam obserwacje poczynione w MCHAT-cie. O wielkości tego teatru decyduje niewątpliwie nagromadzenie wspaniałych i potężnych indywidualności aktorskich. Bez ryzyka można zastosować porównanie, że aktorzy MCHAT-u potrafią rozprawić się z losem ludzkim jak dobrzy pisarze.

Pragnę podkreślić, że aktor radziecki osiąga poważne rezultaty artystyczne między innymi dzięki zdobyczom organizacyjnym swoich teatrów. Praca ściśle zawodowa jest tak zorganizowana, że aktor dysponuje dostateczną ilością czasu na życie osobiste, rozwijanie swego talentu i kształcenie się. Specjalne uznanie i zachwyt naszego zespołu wywołała wysoka kultura życia zakulisowego.

— Na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Czy spotkaliście się z jakimiś specjalnymi życzeniami widowni radzieckiej?

— Wielokrotnie i we wszystkich miastach proszono nas o ponowny szybki przyjazd do ZSRR. Upominano się o nasz wielki repertuar — o Mickiewicza i Wyspiańskiego.

Rozmowy przeprowadzili
Stefan M. Czarnecki
Wiesław Sachs

Zespół Teatru Polskiego w ZSRR.

IRENA TURSKA

CHIŃSCY TANCERZE W POLSCE

PO raz drugi w czasie tegorocznej jesieni publiczność polska styka się ze starą, o wielowiekowej tradycji kulturą taneczną. Oprócz artystów hinduskich gościł w Polsce *Zespół Pieśni i Tańca Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej* pod kierunkiem *Czhen I*, z barwnym, atrakcyjnie zmontowanym programem.

Zasługą tego zespołu, obok pracy kulturalno - wychowawczej w armii chińskiej — jest wydobycie z zapomnienia i wskrzeszenie starych ludowych form tanecznych. Od wielu bowiem lat zmagał się w Chinach nurt żywej twórczości ludowej z martwą, muzealną sztuką oficjalną, popieraną przez panujących feudałów; zamierały w żywej tradycji zabytki starej, chińskiej kultury tanecznej, utrwalonej w opisach literackich i przepisach starych kodeksów. Jedynym żywym zabytkiem świetnej przeszłości był teatr, najbardziej konserwatywny a zarazem konwencjonalny teatr na świecie.

Istniejąca w ramach Zespołu Pieśni i Tańca grupa dramatyczna pokazała nam przykład tradycyjnej sztuki teatralnej w jej pieczołowicie zachowanym kształcie. Jest to w y j ą t e k z k l a s y c z n e j o p e r y c h i ń s k i e j o następującej treści: z odłamu skały na górze Hua Kuo wyskoczyła małpa, nauczyła się władać bronią i ogłosiła się cesarzem małp. Postanowiła zdobyć lepszą broń i w tym celu udała się za morze do pałacu cesarza smoków. Żółwie i raki, strzegące cesarskiego pałacu, nie chciały wpuścić cesarza małp, pokonane jednak jego czarodziejską mocą musiały go zaprowadzić przed oblicze cesarza smoków. Ów zaproponował mu czarodziejską, ogromnie ciężką igłę królestwa morskiego, przypuszczając, że małpa nie zdoła jej udźwignąć. Jednakże cesarz małp posługiwał się nią z zupełną łatwością. Rozgniewał się wówczas cesarz smoków i zażądał zwrotu igły. Nakazał morzu, by się wzburzyło i wysłał swe wojska przeciwko cesarzowi małp. Pomimo jednak swej chytrości poniósł klęskę.

I oto ten krótki obrazek sceniczny jest kwintesencją klasycznej opery chińskiej: konwencjonalność, symboliczna umowność kostiumu, charakteryzacji, rekwizytu, gestu i ewolucji akrobatycznych, ścisły związek ruchu z akompaniamentem muzycznym. Niezwykle dla naszego oka barwne, o intensywnych śmiałych kolorach, bogato zdobione kostiumy, staranna charakteryzacja lub pełna wyrazu maska służą do określenia typu i charakteru postaci. Szczególnie ciekawą rolę spełniają rekwizyty: na scenie kilka przykucniętych nisko postaci osłania się rozpiętymi płachtami niebieskiego jedwabiu, wprowadzając je w jednostajny ruch falowy — to spokojne morze! Gdy cesarz małp żongluje z niebywałą zręcznością i szybkością legendarną igłą — na rozkaz cesarza smoków burzy się morze: w rękach jednego z artystów powiewa olbrzymi niebieski sztandar na długim drzewcu a przez fale płynącej materii skaczą w zawrotnych akrobatycznych saltach dzielni wojownicy. Zadziwiająca precyzja ruchów, obliczona w ułamkach sekundy synchronizacja trudnych ewolucji z falowaniem jedwabiu są dowodem wysokiej dyscypliny ruchu i techniki operowania rekwizytem; cały ten fragment nie stanowi tylko efektownego popisu dla oka, jest nierozłącznie związany z treścią i sytuacją dramatyczną. Takie jest bowiem przeznaczenie akrobatyki w chińskim teatrze, akrobatyki pełnej głębokiego sensu i podporządkowanej treści i myśli przewodniej widowiska.

Drugą ciekawą pozycję programu stanowią tańce ludowe, wskrzeszone relikty starych obyczajów ludu chińskiego. „W e s e l e u l u d u M i a o", zamieszkującego południowe i południowo - zachodnie Chiny oraz wyspę Hainan — to obrzędowe tańce weselne, pełne urzekającej prostoty i wdzięku. Jak w każdym tańcu chińskim, występują tu liczne rekwizyty, nie będące zresztą martwym szczegółem inscenizacyjnym, lecz żyjące własnym życiem tanecznym. Tańczą barwne bukiety kwiatów i miseczki ryżu, a delikatny dźwięk uderzanych o nie pałeczek staje się jeszcze jednym instrumentem perkusyjnym ludowej orkiestry.

Podobnie tańczą w rękach dziewcząt koszyczki i rekwizyt-motyl w dziewczęcym tańcu z południowych Chin „Z b i ó r h e r b a t y". Pełen subtelnego wdzięku taniec koncentruje uwagę widza na finezyjnych, wymownych ruchach palców chwytających i skubiących płatki z herbacianych krzewów.

„S a b a j" — stary ujgurski taniec z żelaznym pierścieniem, tańczony przez parę solistów — to odwieczny temat miłosnych zalotów, lecz jakże inaczej potraktowany, jak pięknie stylizujący każdy odruch zbliżania się mężczyzny i cofania kobiety. I znów uporczywy dźwięk żelaznego pierścienia w ręku tancerza znaczy rytm taneczny.

Trzecią grupę tańców stanowią nowe formy wykorzystujące w sposób twórczy tradycyjne elementy sztuki narodowej, nasycone nową treścią. „B ę b e n w o j s k o w y", męski taniec zespołowy opiewający bujne i radosne życie w jednostkach Chińskiej Armii Ludowo - Wyzwoleńczej, jest bardzo interesującym przykładem współczesnej twórczości. Mamy tu znów tańczące i akompaniujące rekwizyty, mamy dowcipnie zastosowaną akrobatykę, mistrzowską grę aktorską i nawet pewien zasób umownych ruchów tancerzy, znaczących zmiany sytuacyjne. Nad wszystkim jednak góruje idealna synchronizacja ruchów, świadcząca o dyscyplinie i mocnej więzi kolektywnej całego zespołu. Ta sama dyscyplina zespołowa cechuje drugi wojskowy taniec „K a w a l e r z y ś c i T y b e t a ń s c y" przedstawiający szkoleniowe ćwiczenia jednostki kawaleryjskiej. Wysoce artystyczna stylizacja każdego gestu, nawet tak realistycznych elementów, jak np. konna jazda, strzelanie do celu, itp. przesądza o braku choćby cienia naturalizmu w chińskiej sztuce tanecznej, gdzie każdy gest i ruch, wzięty z życia codziennego ulega jasnemu, zrozumiałemu a jednocześnie bardzo estetycznemu przetworzeniu.

Program chińskiego Zespołu Pieśni i Tańca, uwzględniając również sztukę narodów zaprzyjaźnionych, zawierał obok mazowszańskiej „Kukułeczki" w wykonaniu wokalnego zespołu żeńskiego oraz solowej pieśni polskiej „Hej ty Wisło" — również taniec z repertuaru radzieckiego Zespołu Pieśni i Tańca Armii Czerwonej Aleksandrowa, zatytułowany „W y p o c z y n e k ż o ł n i e r z y". Obok trafnego uchwycenia charakteru żołnierskiego „Piereplasu"*), taniec ten został rozbudowany technicznie, wykorzystano wielkie możliwości wirtuozowskie i akrobatyczne chińskich tancerzy.

Olśniła nas świetnie rozwinięta i opanowana technika akrobatyczna i taneczna będąca wynikiem nie tylko wytrwałych, racjonalnych, zbudowanych na wielowiekowym doświadczeniu ćwiczeń, stosowanych od bardzo wczesnych lat dziecięcych — lecz również wynikająca w pewnej mierze ze specjalnej konstrukcji fizycznej, rozszerzającej możliwości motoryczne żółtego człowieka. Gdy przyjrzeć się nawet poruszającym się „prywatnie" po scenie członkom zespołu (np. przy zmianach dekoracji, które w teatrze chińskim odbywają się na oczach widowni) — uderza dziwna elastyczność, jakby kocia miękkość i harmonijność każdego ich poruszenia. A przy tym spokój i wewnętrzne skupienie, mistrzowsko aktorskie i wszechstronnie wyćwiczone, opanowane ciało sprawiają, że absolutnie każdy ruch jest pełen wyrazu i znaczenia. Nie darmo cały kierunek tańca ekspresjonistycznego, rozwijający się w latach 30-tych w Niemczech, nie znajdując podbudowy w europejskiej technice tanecznej, oparł się w tak wielkiej mierze na elementach ruchowych tańca dalekiego Wschodu!

Podziwialiśmy doskonałą precyzję ruchu zespołowego i związek z akompaniamentem muzycznym.

Wszystkimi środkami wyrazu tancerze chińscy operują z niezawodną pewnością. A same środki wyrazu? — Podporządkowane są one wysoce artystycznej zasadzie: p r o s t o t a i u m i a r. Jednym z największych walorów chińskiej choreografii jest właśnie mistrzowskie wykorzystanie bardzo prostych środków wyrazu. A wszystko razem zamyka się w określeniu: wysoka kultura artystyczna.

Irena Turska

*) Piereplas — rosyjski taniec ludowy, przeplatany popisami współzawodnictwa technicznego solowych tancerzy.

JERZY WOJCIECHOWSKI

Gra Światosław Richter

ALE jak gra! Jeżeli można dziś o kimkolwiek powiedzieć „natchniony artysta", to na takie miano zasługiwać będzie przede wszystkim Światosław Richter. Każdy jego występ odkrywa przed słuchaczami nowe światy, odsłania nie przeczuwane dotąd horyzonty.

Na koncercie symfonicznym Filharmonii Warszawskiej zareprezentował się Richter jako doskonały pianista mający, jak się to mówi, w jednym palcu wszystkie elementy techniki pianistycznej, jako artysta bardzo oryginalny, a przy tym niezwykle zdyscyplinowany i precyzyjny. Było to już bardzo wiele, ale jak się okazuje, bynajmniej nie wszystko. Dopiero dwa solowe występy pozwoliły dostrzec całą wielkość talentu Richtera, Richtera-romantyka i Richtera - impresjonisty, czarodzieja nastroju i mistrza dźwiękowej kolorystyki. Niezwykła barwność gry Richtera mogłaby stać się przedmiotem obszernego studium, gdyby — gdyby w ogóle dawała się opisać. Cykl Preludiów Chopina czy zbiór miniatur Schumanna pod palcami Richtera upodabnia się do łańcucha klejnotów, z których każdy lśni odmiennym blaskiem.

Czy nie ma zastrzeżeń? Zapewne są. Jest rzeczą zwykłą, że artysta wyrastający znacznie ponad zwykły poziom budzi u jednych zachwyty, u innych — zarzuty. Tak w przypadku Richtera podzieliły się zdania co do wykonywanych przezeń dzieł Chopina. Rzecz jednak charakterystyczna, że zmysł krytyczny doszedł do głosu dopiero w jakiś czas po koncercie. Podczas bowiem koncertu wszyscy słuchacze znajdowali się pod urokiem gry Richtera, co jest wystarczającym dowodem wielkości artysty.

Można by istotnie dyskutować nad tym, czy Scherzo E-dur nie zanadto upodobniło się do nokturnu, można by spierać się o interpretację Ballady f-moll. Natomiast cykl dziesięciu Preludiów Chopina w interpretacji Richtera nie może budzić innych uczuć prócz gorącego zachwytu. Zwłaszcza genialne wykonanie Preludiów E-moll i Es-dur długo zapewne pozostanie w pamięci słuchaczów.

Przede wszystkim jednak pozostanie w ich pamięci druga część recitalu Richtera, którą wypełniły dzieła Franciszka Liszta. Od razu pierwsze akordy „Funérailles" sięgnęły szczytów dramatycznego napięcia. Z wizjonerską plastyką ukazywał artysta wyobraźni słuchaczy tragiczne obrazy żałobnych pochodów, zwiewne pląsy błędnych ogników, uroczą postać Małgorzaty czy szatański chichot Mefista. Wszystkie środki, jakimi rozporządza ten niezwykły pianista, podporządkowane są jego wyobraźni i służą jedynie dla spotęgowania sugestywności obrazu, jaki pragnie on przekazać swym słuchaczom. Technika Richtera jest niezwykła, lecz nie wysuwa się ona nigdy na pierwszy plan, pozostając raczej czynnikiem wtórnym.

Nawet w utworach *par excellence* wirtuozowskich nie pozwala Richter podziwiać techniki, lecz zmusza do zachwycania się interpretacją. Z Etiudy Liszta „Feux follets" (Błędne ogniki) wydobył on tyle poetycznego czaru, że ogromne tempo uszło niemal niezauważone, przyczyniło się jedynie do spotęgowania nierealnej atmosfery oraz wrażenia lekkości i powiewności. Piorunowa szybkość oktaw i dalekich skoków w „Walcu Mefista" wypłynęła tak konsekwentnie z narastającej wciąż linii wyrazowego napięcia, że po prostu nie mogło być inaczej, gdyż zachwiałaby się konstrukcja utworu. Fenomenalna technika w służbie treści muzycznej — oto w jednym zdaniu charakterystyka Światosława Richtera.

Miarą wielkości Richtera jest też niezwykłe powodzenie jego drugiego recitalu o bardzo — wydawałoby się — „elitarnym" programie. Gdyby jakiś inny pianista zaryzykował wykonanie prawie zupełnie nieznanego u nas cyklu „Bunte Blätter" Schumanna oraz szeregu utworów Szymanowskiego, jedna trzecia część publiczności uciekłaby z sali natychmiast po zakończeniu programu, albo i wcześniej. Okazuje się jednak, że nawet bardzo trudna muzyka zawsze się spotka z gorącym przyjęciem, jeżeli jest naprawdę dobra i — naprawdę dobrze wykonana.

Po koncercie Richtera mimo, że już pogaszono światła na estradzie i zamknięto fortepian, publiczność nie opuszczała sali przez dobre dziesięć minut oklaskując i wywołując artystę.

Specjalna wdzięczność należy się Richterowi za mistrzowskie wykonanie II Sonaty Karola Szymanowskiego, z którym to dziełem wielu polskich miłośników muzyki dzięki Richterowi dopiero po raz pierwszy się zetknęło.

Jerzy Wojciechowski

TADEUSZ PAJDA

NA PRZYKŁAD W PUCKU...

PODOBNA do napiętej struny kontrabasu ulica Prezydenta prowadzi z Rynku ku nabrzeżu. Tutaj niknie ona w gęstwinie kasztanów i głogowego krzewia — rozmieniając się na kilkanaście parkowych ścieżek. O tej porze roku — w listopadzie — w parku jest pusto. Tylko z rzadka widać tu samotnych spacerowiczów, niespokojnym krokiem kierujących się na przełaj ku morzu. Niecierpliwy wiatr pozrzucał złocone jesienią liście, a teraz usadowił się tu i ówdzie w konarach starych drzew wygrywając na nich jakąś zapóźnioną piosenkę. Piosenkę rzewną i jakąś żałosną, taką, że chwilami zdawać by się mogło, iż teraz żałuje swoich niewydarzonych, zawadiackich zapędów...

Pamiętam te zaciszne — mające w sobie coś z niefrasobliwej powagi wysłużonego wiarusa — uliczki puckiego wybrzeża sprzed kilku miesięcy. Słońce przygrzewało wtedy z wysoka a w cieniu przysadzistych kamieniczek miasteczka przechadzali się tłumnie wczasowicze. Na pobliskiej plaży kolorowo ubrane dziewczęta rzucały mewom kawałki chleba a te — przekrzykując się nawzajem niczym niesforne dzieci — łapały je nie przerywając lotu. — Od przystani płynęły zatoką kutry, kierując się ku pełnemu morzu. Z brzegu towarzyszyła im melodia o postrzępionej kantylenie, potem zwolna słabła i zanim zniknął z horyzontu ląd — rozpływała się w pomarszczonej lekko tafli wody.

Teraz, o świtaniu listopadowego poranku masywne, przystosowane do dalekich, pełnomorskich połowów kutry też jak co dzień wychodzą z portu. Ich beczkowate sylwetki suną nawet częściej niż latem — ale nikt ich tu nie żegna.

Pusto tu w Pucku i nudno. Miasto jakby odpoczywało po wakacyjnym szaleństwie, miesiącach beztroski, zabawy i krzykliwego tłumu wczasowiczów. Nawet kelner w jedynej przyzwoitej tu restauracji ociąga się i zwleka sporą chwilę zanim zapyta:

— Co podać?..

Czyżby to miasteczko żyło tylko latem? To prawda, że o charakterze miasta decydują przede wszystkim ludzie, ale czy brak tego całego hałaśliwego świata ludzi na wczasach odebrał temu miasteczku cały jego urok malowniczo położonej nad morzem miejscowości?

*

A jednak tak jak latem w upalne dni czerwca czy lipca — ulica Prezydenta prowadzi nadal z Rynku ku brzegowi zatoki. W połowie ulicy Prezydenta po lewej stronie jezdni stoi duży, murowany gmach, w którym do niedawna mieściła się jedyna w kraju szkoła szkutnicza. Obecnie szkołę przeniesiono do położonych w parku nad brzegiem morza baraków, a na murowanym gmachu tuż przy wejściu umocowano czerwone tabliczki z godłem państwowym i napisem: *Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Pucku, Powiatowy Komitet Frontu Narodowego w Pucku* i kilka innych.

Uchwałą Rady Państwa utworzono tu w miejsce części dawnego powiatu wejherowskiego nowy powiat: powiat pucki. A Puck to miasto stare. Nie wierzycie? Oto dowody.

Już w 1287 roku na akcie traktatu pokojowego zawartego pomiędzy magnatami Pomorza a księciem Mestwinem, znajdujemy wśród licznych podpisów szlachty — pieczęcie kasztelana oraz sędziego z Pucka. Dowodzi to, że u schyłku trzynastego stulecia Puck był już siedzibą wielu ówczesnych urzędów, a więc był grodem zasobnym, bogatym, dobrze zorganizowanym i wcale nie tak znowu małym. — Kasztelania pucka, o której pierwszą wzmiankę znajdujemy na szesnaście lat przed zawarciem wspomnianego wyżej traktatu, była częścią obwodu gdańskiego, z obowiązkiem świadczeń na rzecz tego miasta.

Niedługo jednak, bo za czasów księcia Mestwina II nastąpiło uniezależnienie Pucka od władzy wojewody gdańskiego, a kiedy komtur krzyżacki osiedlił się w Gdańsku — kasztelania pucka zamienioną została w jeden z sześciu okręgów, na jakie podzielono Pomorze, zwane wówczas „krajem przygdańskim". Powstał tu tzw. „Fischamt", który przetrwał do 1462 roku, kiedy to w wyniku wojny trzynastoletniej z krzyżakami Puck i jego okolice wróciły znowu pod panowanie króla polskiego. W cztery lata później ustanowiono tu starostwo, do którego obok wielu, wielu wsi należały nawet miasta jak Hel (z przywilejem miejskim z 1378 roku), Wejherowo. I tutaj właśnie, do Wejherowa po rozbiorach Polski przeniesiono siedzibę powiatu. Dopiero w sto lat później, pod koniec ubiegłego stulecia, a więc w dobie szczególnego nasilenia germanizacji na dawnych ziemiach polskich, ustanowiono w Pucku na powrót starostwo. Tego nowego podziału dokonano z myślą o skuteczniejszej germanizacji osiadłej tu ludności kaszubskiej. Jednak skutek był wręcz odwrotny: Kaszubi uparli się i do końca panowania pruskiego wysyłali do parlamentu niemieckiego wyłącznie posłów pochodzenia polskiego. Z tego też okresu datuje się zwiększony ruch niepodległościowy, któremu przewodziło wielu do dziś czczonych i serdecznie wspominanych działaczy kaszubskich.

Tak więc władze polskie zastały w 1920 roku dwa powiaty: Wejherowo i Puck, lecz w kilka lat później, decyzją prezydenta RP z 29 lutego 1928 połączono — rzekomo z powodów oszczędnościowych — oba powiaty w jeden tzw. powiat morski z siedzibą w Wejherowie.

Ziemia pucka posiada wiele pamiątek starej polskiej kultury. Są to liczne zabytki, a przede wszystkim dawne klasztory, kościoły i owe sławne podcieniowe chaty kaszubskie. Nic więc dziwnego, że ziemia ta była obiektem szczególnej germanizacji. Tępiono z bezwzględną brutalnością wszelki, choćby najmniejszy odruch polskości, zabraniano nauki języka, a większe majątki obsadzono kolonistami pruskimi, którzy potem stali się zajadłymi hitlerowcami.

Uchwała Rady Państwa o ustanowieniu powiatu puckiego wynika zatem zarówno z przesłanek natury historycznej, jak też uwzględnia faktyczne potrzeby ludności. Dotychczasowy powiat wejherowski liczył bowiem prawie 140 tysięcy hektarów obszaru i 103 tysiące ludności rozrzuconej nieraz w promieniu parudziesięciu kilometrów, co wcale a wcale nie sprzyjało ludziom w rozwijaniu inicjatywy w gospodarowaniu tym terenem, a co za tym idzie — utrudniało kontrolę nad poszczególnymi organami administracji państwowej. — A to przecież jest kluczowym założeniem naszej ludowej władzy.

*

Nie bez racji wspominamy dawne dzieje. Nie bez powodu przerzucamy karty mądrej księgi historii, na których słowa powypisywała czyjaś — nie zawsze wprawna ręka — inkaustem goryczy, żalu i rozczarowania. — Ale powróćmy na naszą pucką ulicę Prezydenta, tę samą, po której hula wiatr roześmianej jesieni 1954 roku.

Przystosowany na prędce do potrzeb prezydium PRN budynek szkoły szkutniczej jeszcze pachnie wewnątrz świeżą farbą. Po korytarzach, z piętra na piętro biegają młodzi ludzie z wypchanymi teczkami pod pachą, zamieniając w przelocie uściski dłoni. Niektórzy zatrzymują się na chwilę i wypytują napotkanych znajomych o wiadomości z terenu.

— Jak tam u was ze zbożem — zapytuje ktoś napotkanego przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej z Mechowa — Pawła Hebla, radnego nowoutworzonego powiatu.

— No cóż, ze zbożem ujdzie, ale wykopki, oj, te wykopki... — I w tym niepokoju przewija się nuta troski o spółdzielcze dobro.

W sekretariacie przewodniczącego prezydium — Franciszka Ziętka — sporo interesantów. Nieznośny telefon raz po raz przerywa stukot maszyny do pisania.

— Przepraszam, czy można rozmawiać z przewodniczącym?

— Rozmawiać, oczywiście, że można, ale — tu sekretarka wskazuje na długi rząd krzeseł i znudzone czekaniem twarze kilkunastu obywateli.

— To może z zastępcą?

Kazimierz Bizewski, zastępca przewodniczącego PRN jest uczynnym, młodym człowiekiem i chętnie by udzielił reporterowi wiele ciekawych informacji, ale... tu wskazuje na terminarz zajęć, rozmów i zebrań. Niemniej znajduje kilka minut na życzliwą rozmowę po czym kontaktuje nas — z kim? Z kolegą Bohlem, który co dopiero objął w organizującej się tu placówce władzy państwowej obowiązki instruktora organizacyjnego.

Teraz jesteśmy u siebie. Słuchamy tej ciekawej opowieści o sprawach nowego powiatu: o niekończącym się od paru lat remoncie szkoły w Lisewie, zapijaczonych gospodach w Minkowicach i Wierzchucinie, rozmawiamy o troskach obywateli no i o tym, co by tu najszybciej naprawić, co zmienić na lepsze, jak pomóc tym, co mają kłopoty z wykopkami i tym, co o świcie wypływają na morze. — A potem? Potem śladem uzyskanych informacji.

*

Jan Struk z Jastarni jest znanym i powszechnie lubianym rybakiem. Bywa, że wypłynie na morze i tylko sobie właściwym instynktem doświadczonego człowieka morza odgadnie którędy idzie śledź.

— Ten umie rybaczyć — mawiają młodsi rybacy — jemu śledź sam lezie do włoka.

Nic więc dziwnego, że Struk znalazł się w radzie nowego powiatu jako przedstawiciel rybaków z Jastarni. Zasłużył na to. Tu i ówdzie przebąkiwano nawet, że dobrze by było, aby Struk nadal reprezentował załogi jastarnianych kutrów.

Ale pewnego dnia miejscowa gazeta przyniosła krótką, lakoniczną wiadomość o tym, jak to pewien rybak z Jastarni, posiadający sporą działkę ziemi — zwleka z odstawieniem zboża. Tym rybakiem był nie kto inny jak nasz Struk.

— Jakto — mówiono — radny nie odstawia! — Ruszyła nawet plotka o kumoterskich stosunkach Struka z punktem skupu.

Było to w pierwszych dniach października. Ostateczny termin oddania zboża był za pasem. Poszedł więc Struk na punkt skupu i powiada:

— Słuchajcie, kierowniku, trzeba poczekać. Moje zboże zamokło, niech przeschnie. Przecież takiego nie sprzedam.

Uzgodnił więc radny Struk nowy termin i wkrótce jego ziarno znalazło się w magazynie. Ale cóż, pióro korespondenta miejscowej gazety było szybsze. Szybsze i — co tu dużo mówić — nieuczciwe. Podając bowiem niedokładną wiadomość, wyrządziło krzywdę człowiekowi i szkodę prestiżowi radnego nowego powiatu. I co gorsze, nawet w samym prezydium puckiej rady tu i ówdzie mówi się:

— Kto wie co z tym Strukiem, niby człowiek uczciwy, dobry rybak, pracowity, ale go przecież opisali w gazecie...

*

Ta sama gazeta, która spowodowała to zbożowe nieporozumienie, pisała w kilka dni później: *Wybrać 230 tysięcy radnych, to nie prosta sprawa. A zwłaszcza wybrać dobrze, wybrać ludzi nadających się do sprawowania tych funkcji, ludzi rzeczywiście przodujących w swoim środowisku, cieszących się autorytetem i zaufaniem współobywateli, a do tego ludzi mających chęć do pracy w radzie, zamiłowanie do pracy społecznej, energię.*

Jan Struk z Jastarni w ciągu swojej paroletniej kadencji radnego wykazał, że posiada i zamiłowanie do pracy społecznej, i energię. I dlatego rybacy z portu rybołówstwa morskiego w Jastarni — mimo niesumienności korespondenta — wytypowali Struka jako kandydata do nowej rady narodowej swojego powiatu.

Tadeusz Pajda

W obronie SHERLOCKA HOLMESA

(Dokończenie ze str. 8)

wytężonej działalności mózgowej Legranda czy Dupina".

Cytowałem Hennequina (a raczej przytoczyłem cytat z niego zamieszczony przez Stanisława Wyrzykowskiego w jego przedmowie do „Arabesek" Poego) nie w przypuszczeniu, że owe *verba magistri* załatwiają sprawę ostatecznie, ale dlatego, że francuski krytyk daje tu coś ważniejszego niż szkolarska definicja: opisuje on i d e a l n y w z o r z e c omawianego gatunku literackiego. Jest to idealny wzorzec utworu będącego czystą fantazją intelektualną, czystą algebrą wyobraźni pracującej pod wyłącznym dyktandem rozumu. Utwór tego rodzaju musi być zbudowany z elementów będących elementami równania, w którym rolę poszukiwanej wartości gra zbrodniarz. Zagadnienia moralne, społeczne, psychologiczne mogą się zjawiać w takim opowiadaniu, ale zjawiać się n i e m u s z ą. W wypadku krańcowym, jak np. w „Tajemnicy Marii Roget" Poego, detektyw Dupin ustala tylko, kto popełnił zbrodnię; nie mamy w tej noweli ujęcia przestępcy, nie znamy jego personaliów ani też genezy jego czynu. Kim był tajemniczy śniadolicy marynarz? Dlaczego zabił Marię? Poe przemilczeniem tych faktów zdaje się mówić: problemat, który mnie trafił, rozwiązałem, kwestia zaś pobudek psychologicznych zbrodni, moralnej oceny tego faktu, ustalenie tła całej tej historii i wszystkich okoliczności towarzyszących — to już sprawy całkiem inne.

Widzę, jak Pędziński uśmiecha się złośliwie i myśli sobie: Aha! przyszedłeś jednak na moje podwórko. Brak postawy moralnej, słabo zarysowane tło społeczne i psychologiczne, schematyczne potraktowanie postaci bohatera negatywnego, jakby to był tylko automat do zabijania bliźnich, a nie żywy człowiek. Przecież ja właśnie o tym wszystkim pisałem: Tak to rzeczywiście wygląda, jakbym podprowadził Pędzińskiemu pod miecz jego wroga i jeszcze wołał: „No, masz go tutaj. Wal, ile wlezie".

Rzecz w tym jednak, iż specyfikę romansu kryminalnego stanowi po prostu pewien s c h e m a t f a b u l a r n y uwarunkowany ściśle zabawową koncepcją gatunku. Zbrodnia w romansie kryminalnym jest zbrodnią konwencjonalną, częstym, choć niekoniecznym motywem ekspozycji („Złoty żuk" np. obywa się bez tego motywu: akcję nawiązuje przypadkowe odnalezienie szyfrowanego pisma kapitana Kidda). Kryminalność literackich „kryminałów" opiera się na procesie analityczno - dedukcyjnych rozumowań o charakterze śledczym, tropicielskim. One są ważne we wszelkich Sherlock - Holmesiadach, a nie poderżnięte gardła, noże w brzuchu i rozprute kasy. Jeżeli automatyczny pistolet, sztylet, piorunująco działająca trucizna stały się nieodzownymi rekwizytami dla większości autorów-„kryminalistów", to jedynie w wyniku burżuazyjnego zamówienia na literaturę „wstrząsającą".

I tu znowu schodzimy się z Pędzińskim (bo w zasadzie nasze stanowiska są dość bliskie), ale on chce uzdrawiać romans kryminalny przez likwidację go na rzecz literatury sensacyjno - dydaktycznej, ja (nie negując jej wartości) walczę o prawo do życia dla klasycznej formy tego romansu.

Przede wszystkim protestuję przeciw naiwnie idealistycznej teoryjce o możliwości zdeprawowania zdrowego moralnie społeczeństwa przez tego typu literaturę. Rozkład romansu kryminalnego na Zachodzie, jego dekadencja w romans o zbrodni jest tylko objawem rozkładu kultury burżuazyjnej.

Konwencjonalność literacka romansu kryminalnego uprawnia do mniemania, że autor jako układ odniesienia nieujawniony *explicite* w powieści, ale będący dla niego samego bazą operacyjną — przyjmuje właściwy dla swego społeczeństwa pogląd na świat, obowiązujący aktualnie system wartości. Odchylenia autora od niepisanej umowy z czytelnikiem o obowiązku przestrzegania tych założeń dostrzec łatwo. Dojdą one do głosu w poglądach bohaterów powieści, w doborze i użytkowaniu materiału obserwacyjnego, w organizowaniu materii fabularnej. I w razie potrzeby możemy bić winowajcę po łapach.

Przestrzeganie tego rodzaju normy negatywnej, powie pewnie Pędziński, jest łatwe, ale nam chodzi o wypełnianie przez pisarza normy pozytywnej: o walor wychowawczy jego dzieła.

Czyż jednak koniecznie z lektury każdej książki musimy zbierać jak pszczółka nektar, słodycz mądrości skondensowaną w aforyzmach głoszących, że np. „W zdrowym ciele zdrowy duch", „Nie rób nikomu, co tobie niemiło", „Miłe złego początki" itp? Walor wychowawczy literatury rozrywkowej może wyrazić się właśnie w owym wspomnianym powyżej afirmowaniu istniejącego porządku jako czegoś samo przez się zrozumiałego, nie podlegającego dyskusji. Rzecz w tym, żeby autor rzeczywiście tak pojmował ów porządek, bo w innym wypadku spoza najbardziej rozdeklamowanej, „państwowotwórczej" bigoterii wyjrzy nieuchronnie faryzejzm.

Ale czyż zabawa, sama zabawa nie jest faktem społecznie pozytywnym? Nie mam zamiaru kreślić tu jakiejś filozofii zabawy, lecz przejdę od razu do spraw bezpośrednio nas obchodzących. Literatura kryminalna w jej klasycznej formie jest literaturą wysokiej klasy żartu intelektualnego, subtelnej i wyrafinowanej dialektyki pojęć. Z tego właśnie względu ma ona poważny walor dla wszystkich pracujących umysłowo jako swoista namiastka intelektualnego płodozmianu. Chodzi o to, by umysł stale zaabsorbowany pracą w jednym kierunku otrzymał od czasu do czasu trochę problematyki z innej, zupełnie odmiennej dziedziny. Niechby np. urzędnik bankowy chwile wolne od zajęć poświęcał filologii klasycznej, lekarz — archeologii, inżynier — poezji trubadurów itp. Łatwo jednak postulować i zalecać, ale cóż, kiedy ci, do których te rady się odnoszą, zbyt mało mają czasu na ich realizowanie? Uwzględniając tę sytuację dobrze byłoby pomyśleć o zapewnieniu im choćby takiej właśnie, jak romans kryminalny, rozrywki umysłowej, która dałaby im możliwość skierowania myśli na inne niż w ciągu dnia pracy tory. Zabawa? Tak, ale ta zabawa nie jest bez znaczenia dla higieny psychicznej pracownika umysłowego. A do nas, krytyków, należy pilnowanie autorów, żeby w takiej zabawie nie szachrowali, żeby trzymali się reguł.

To będzie chyba wszystko — tymczasem. Dodaję to zastrzeżenie, gdyż świadom jestem, że w artykule niniejszym wielu spraw nader istotnych dla omawianego zagadnienia w ogóle nie poruszyłem, inne zaś potraktowałem według słów ludowego porzekadła: temu w łeb, temu koło łba. Może jeszcze będzie okazja powrócić do tych kwestii, gdy np. Pędziński weźmie się do roztrząsania tych moich uwag o jego artykule.

Na zakończenie chcę go zapewnić, że w paru miejscach (gdy np. mowa była o ciotkach - intelektualistkach) został poszkodowany tylko mimochodem: atakowałem pewne stanowiska zasadniczo dla mnie niesympatyczne, a on tamtędy akurat przechodził.

Stefan Lichański

Pod rozwagą

Silva Rerum...?

Istnieją podobno przy każdym szanującym się tygodniku tzw. redaktorzy literaccy. Być może, „Tygodnik Powszechny" ich nie ma. Jeśli jednak ma — są widocznie w zmowie z listonoszem, który — aby ich nie fatygować — sam odnosi nadesłane artykuły bezpośrednio do drukarni.

Gdybyście w to nie wierzyli — zapoznajcie się z pewnym artykułem.[1])

Aby Was zachęcić, będę cytował: „Dzieje kultury europejskiej znają almanachy już od bardzo dawna. Kędyś od Arabii przywędrowała ta nazwa (al-manakh), oznaczając pierwotnie (XII — XIV wiek) księgi i tablice z kalendarzowymi zestawieniami świąt kościelnych, obliczeniami astronomicznymi i astrologicznymi, z przepowiedniami. Charakter ich ulegał jednak licznym zmianom tak, że z czasem zaczęły one uwzględniać przede wszystkim różnego rodzaju zagadnienia z zakresu gospodarki, historii, polityki, dyplomacji itp.

Almanach literacki, to zjawisko niecodzienne, odbiegające dosyć znacznie od pierwotnego charakteru almanachu. Cechą wspólną pozostała różnorodność materiału, zaś w tym konkretnym wypadku, o którym mowa,[2]) również pewnego rodzaju analogia z faktem, że pierwotne almanachy wybiegały niejako w przyszłość, zawierając informacje o przyszłych świętach, zjawiskach astronomicznych oraz przepowiednie.

„Almanach literacki" wydany ostatnio przez „Iskry" nie jest oczywiście taką przepowiednią (...). Ale przeczytanie choćby kilku utworów tego zbiorku skłania do wybiegania w przyszłość, do zastanowienia się nad zawartym w nim materiale i jego twórcami.

Na przeszło 400 stronach zebrano bogaty i różnorodny materiał reprezentujący twórczość tej części młodego pisarskiego pokolenia, które grupuje się w Kołach Młodych (...). Tenże więc Almanach Młodych skupił 25 poetów, 18 prozaików i 3 satyryków. Już na pierwszy rzut oka uderza znaczna ilościowa przewaga poezji nad prozą. Ale to nie jest ważne. Ważniejszy jest fakt, w jakim stopniu reprezentowane są obie płci w tym zbiorku. Otóż tutaj okazuje się, że na 46 osób piszących, tylko cztery nazwiska przypadają na kobiety (i to wszystkie w zakresie prozy). Świadczy to dobitnie o słabym udziale kobiet we współczesnej twórczości młodych, albo też... o niskim poziomie ich twórczości. Obie (sic!) alternatywy nie są pożądane".

Machnijmy ręką na niepotrzebne popisy erudycyjne. Darujmy naiwne rozważania i wnioski statystyczne. Trudno jednak przejść obojętnie koło bałamutnych sądów krytycznych, które feruje Leon Miękina. Ni stąd ni zowąd wyróżnia (zaraz po dobrym Iłłasce) opowiadanie Edwarda Piekarskiego „Żywe złoto". Twierdzi, że Piekarski „odmalował w nim przekonywająco stosunki polskiej wsi powojennej. Zręcznie splótł zasadniczą akcję z wątkiem miłosnym, przez co całość zyskała na plastyczności i barwności". Otóż to jest — moi państwo — fałsz. Tym bardziej szkodliwy i przykry, że chwali się młodego człowieka, który chce zostać pisarzem, za opowiadanie szlampowate, płaskie, chwali się go za sztuczną i niezręczną doczepkę wątku miłosnego, chwali się go za jeszcze jeden kicz o wsi. Nie zmieniłem zdania od czasu, kiedy pisałem z myślą m. in. o „Żywym złocie" (darujcie autocytat): „Czytając Almanach w wielu wypadkach nie wiadomo, czy rosną pisarze, czy też powielacze cudzych myśli, cudzych błędów, cudzych wzorów. Czy rosną żarliwi bojownicy rewolucji, czy przyszli spece od wywąchiwania konjunktury? I to jest właśnie najsmutniejsze.[3]) Mam nadzieję, że Edward Piekarski nie da się złapać na pochlebstwo Leona Miękini. I udowodni to, pisząc rzeczy coraz lepsze.

Poza tym bardzo się cieszę że Miękina nie miał nic do powiedzenia o wierszach zawartych w Almanachu i zadowolił się stwierdzeniem: „niekiedy wiersze te przybierają również formę listu lub piosenki. Można tu spotkać również 7-, 13- 14-zgłoskowce, jak i wiersze toniczne". .

Była mowa o tym, co się znajduje w „recenzji" Miękini. Trzeba jednakże choćby wspomnieć i o tym, czego w niej nie ma. Otóż odczuwa się jednak brak... sensu.

Jerzy Krzysztoń

[1]) Leon Miękinia, „Silva rerum ogólnopolskie...", Tygodnik Powszechny, Nr 45 (484), Kraków, 7.XI.1954.

[2]) „Almanach literacki", Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa, 1954.

[3]) Jerzy Krzysztoń, „Księga młodych nadziei", Dziś i Jutro, Nr 33 (455).

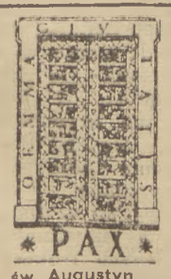

św. Augustyn
PISMA KATECHETYCZNE
str. 280 Cena zł 20.—
św. Augustyn
DIALOGI FILOZOFICZNE
str. 230+234+252 Cena zł 25.— za 1 tom
ks. prof. dr Jan Czuj
ŚW. HIERONIM
żywot, dzieła, charakterystyka
str. 206 Cena zł 18.—
św. Hieronim
LISTY
t. I/III
tł. ks. prof. dr Jan Czuj
str. 452+458+488 Cena zł 34.— za 1 tom
E. Gilson
WPROWADZENIE DO NAUKI ŚW. AUGUSTYNA
str. 360 Cena zł 65.—
WYSYŁA BIURO SPRZEDAŻY „PAX"
WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43
za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa, I-8515/114. — (Przy wpłatach na PKO prosimy doliczyć zł 3.— na koszt przesyłki).
Do nabycia we wszystkich sklepach „VERITASU"

Aktualia księgarniane

Stoimy ostatnio pod znakiem klasyków — zarówno swoich jak i obcych. Zacznijmy więc od listy nowowznowionych powieści — zaliczających się zresztą do najbardziej znanych w literaturze europejskiej. Najwięcej ich ma na swoim koncie PIW. A więc dwutomową, tym razem oprawną „Annę Kareninę" Lwa Tołstoja (ukazały się również jako 4 tom „Dzieł wybranych" — jego „Utwory dramatyczne" obejmujące „Żywego trupa", „Ciemną potęgę" i „Płody edukacji"), „Dombey'a i syna" K. Dickensa, „Katedrę Notre Dame" V. Hugo, „Zwiastunkę" R. Rollanda (o której dalej), „Pisma wybrane" J. Korzeniowskiego (te, niestety, b. mało znane! — o nich również później) i wreszcie „Quo vadis" H. Sienkiewicza (opr.). „Iskry" wydały dwa ładne, oprawne (z rysunkami A. Uniechowskiego) tomy „Nędzników" V. Hugo i skróconego „Hrabiego Monte Christo" A. Dumasa (a więc o zwolennikach lektury „z dreszczykiem" również się nie zapomina!, pełny tekst tej powieści — w druku). „Czytelnik" może się pochwalić Żeromskim („Ludzie bezdomni" i „Syzyfowe prace"), a „Książka i Wiedza", która od czasu do czasu przypomina sobie jeszcze o beletrystyce — ogromne opasłe tomisko zawierające najlepsze powieści E. Zoli: „Dzieła wybrane" skupiają wybór „Dziejów Rougon-Macquartów", „Podbój miasta Plassans", „W matni", „Wszystko dla pań", no i naturalnie „Germinal".

Bardzo cenną nowością beletrystyczną jest wydane po raz pierwszy w języku polskim (PIW) ostatnia część znanej powieści R. Rollanda „Dusza zaczarowana" pt. „Zwiastunka". Książka będąca zakończeniem pięknej powieści francuskiego pisarza, przynosi czytelnikom — pasjonującym się przemianami duchowymi głównej bohaterki — Anetki — rozwiązanie i zakończenie jej długiej drogi. Również PIW wydał trzy (spośród planowanych czterech) tomy dzieł K. Stanisławskiego. Tomy, wydane starannie, w trwałej płóc. opr., obejmujące najważniejsze dzieła wielkiego teoretyka sceny: „Moje życie w sztuce", „Praca aktora nad sobą" — znikają szybko z półek i lad księgarnianych, rozchwytywane nie tylko przez „fachowców", ale i przez wszystkich miłośników teatru, interesujących się specyfiką jego pracy.

Dobrze się stało, iż przypomniano wreszcie w obszernym, 8-tomowym wyborze dzieła Józefa Korzeniowskiego, utalentowanego a niedocenianego pisarza z pierwszej połowy ub. wieku. „Dzieła zebrane" (bajecznie tanie!) — za osiem średnio 350-stronicowych, pięknie oprawnych tomów — 110 zł!) gromadzą szereg powieści: „Spekulant", „Kollokacja", „Krewni", „Garbaty", komedie: „Żydzi", „Majątek albo imie" „Doktor medycyny", „Wasy i peruka" — oraz opowiadania. Przejdźmy do współczesności. „Poeta i dworzanin" Mieczysława Jastruna (PIW), czyli jak mówi podtytuł „rzecz o Janie Kochanowskim", jest bodaj pierwszą od paru lat książką typu monograficzno-biograficznego, którą się czyta z dużym zainteresowaniem. Utwór ten nie będący ani powieścią, ani esejem, ani biografią, stojący na pograniczu różnych rodzajów literackich, tętni barwnym życiem epoki i ukazuje nam w szeregu zbeletryzowanych obrazów — czarnoleskiego poetę — żywego, bliskiego i zrozumiałego. Nie odczuwamy wcale fikcji literackiej, którą autor wypełnił luki między danymi jakie podaje o poecie nauka. „Rzecz o Janie Kochanowskim" tak przyrządzoną i podaną chłoniemy i intelektem i sercem!

Ze wznowień popularnych (ukazujących się w coraz to nowych wydaniach) polskich, współczesnych utworów beletrystycznych zanotować należy „Chłopca z salskich stepów" I. Newerlego i tom opowiadań Jerzego Andrzejewskiego — „Noc". Jedną z ciekawszych nowości są „Profile moich przyjaciół" K. Filipowicza. Seria dwunastu krótkich opowiadań o posmaku psychologicznym (przypominają się „Charaktery" Z. Nałkowskiej) opowiada o dwunastu poznanych i spotkanych przez pisarza w różnych okolicznościach i w różnym czasie „przyjaciołach". Historie tych przyjaźni, interesujące „portrety" dwunastu „przyjaciół". (Każde opowiadanko nosi tytuł będący imieniem jednego z nich) — czynią lekturę tej niewielkiej książeczki przyjemną i interesującą. Bardzo popularny wśród młodzieży Janusz Meissner wydał tym razem „antologiczny" zbiór swoich nowel lotniczych, obejmujący 9 utworów pisanych różnymi czasy pt. „Na skrzydłach burzy" (wyd. „Iskry").

A teraz parę słów o poezji. Ładne, oprawne, pierwsze od sześciu lat! wydanie „Kwiatów polskich" (Czytelnik) J. Tuwima znika w szybkim tempie z księgarń, znowu za mały nakład! „Nasza Księgarnia" wypuściła ozdobny tomik „Ballad" F. Schillera. Zbiorek zawiera pięć najpopularniejszych utworów Schillera tego rodzaju. „Czytelnik" wydał nowy tomik T. Różewicza „Równina" zawierający m. innymi piękny poemacik: „Pierwsza miłość". Ukazały się wreszcie (nakł. PIW-u) „Wiersze wybrane" B. Brechta — oczekiwane od dawna przez czytelników jego dramatów i powieści. Wybór zawiera przeważnie wiersze społeczno-polityczne, o największym ładunku ideowym. Nie brak w nim jednak i liryków oraz wstrząsających wierszy epicko-lirycznych jak np. słynna „Krucjata dziecięca".

W księgarniach ukazały się nagle i równie szybko zniknęły leśmianowe „Klechdy sezamowe" (do niektórych księgarń nadszedł drugi „rzut"). Naturalnie — ładnie wydany, zaopatrzony w miłe rysunki tomik został rozchwytany nie tyle przez ojców kilkuletnich pociech — ile przez dorosłych wielbicieli wybitnego poety dwudziestolecia. Ponieważ „Wiersze wybrane" tego poety — (w opracowaniu M. Jastruna) ukażą się dopiero (nakł. „Czytelnika") w drugim kwartale przyszłego roku, jego sympatycy sięgnęli i po ten uboczny, ale równie piękny produkt jego talentu, jakim jest zbiorek pięciu „klechd sezamowych".

Ostatnim tomikiem Biblioteki Narodowej im. Ossolińskich jest wydany w ramach 2-ej serii „Wybór poezji" najwybitniejszego czeskiego poety ub. stulecia — J. Vrchlickiego. Niewielki wprawdzie, ale skondensowany zbiorek zawiera utwory o tematyce ściśle osobistej, hellenistycznej (opartej o miłość) i społecznej. Wiele interesujących i cennych wiadomości o poecie, jego twórczości, życiu i epoce w jakiej żył — zawiera obszerny wstęp pióra J. Magnuszewskiego. Zestawienie nasze zamknąć możemy dwoma tomikami poezji satyrycznej. O ile zbiorek J. Huszczy „O ludziach i z ludźmi" (Czyt.) zawiera oprócz świetnych satyr — również wiersze liryczne, o tyle „Wiersze wybrane" (PIW) Janusza Minkiewicza stanowią już czystą wysokiej zresztą klasy, satyrę. Tomik obejmuje także tłumaczenia poety z Byrona, Żukowskiego, Marszaka, Michałkowa i Rodariego (wiersze dla dzieci).

Zbigniew Dolecki

JERZY OLKIEWICZ

Motyl wielki jak orzeł

ZMARŁ człowiek, który nie będąc botanikiem, ani biologiem odkrył nowe gatunki kwiatów i roślin, a obsadzał nimi swoje ogrody z logiką równą projektom Le Nôtre'a. Nie był architektem, ale tworzył wnętrza piękne i bogate, gdzie każdy sprzęt, każdy element ustawiał nieomylnie na swoim miejscu. Mało podróżował, a odkrył nieznane kraje, zamieszkałe przez dziwnych ludzi bez trzeciego wymiaru, ludzi, którzy czasem nie mieli nosa, czy oczu, ale mieli serce, choć to serce miało też dwa wymiary. Na przekór Rimbaud'owi nazwał kolory — a w nazwach nie ograniczył się do samogłosek — nazywał przymiotnikami: tragiczny, radosny, drapieżny. Odkrył barwy nieznane, tajemnicze jak nieznane są barwy głosu tych dawno zagubionych, staroświeckich trąbek, którym Bach i Telemann przeznaczali solowe partie w swoich koncertach. Zmarł malarz — Matisse.

Nie uciekał od rzeczywistości w tym okresie, kiedy realizm wydawał się anachronizmem. Nie zniekształcał, nie dramatyzował — jak Picasso. Upraszczał rzeczywistość, stwarzał symbole. Określał algebraicznym wzorem, gdzie a — było człowiekiem, b — kwiatem, ale a + b nie było rzeczywistą sumą. Mełł i zaparzał jak kawę. Bo obraz Matisse'a, to filiżanka kawy, a nie porcja posilnej wieprzowiny. Można się bez niego obyć; ziemia nie zwolni swojego biegu, ani nie spadnie gwiazda przy jego zniszczeniu. Ale kto by stratował z zimną krwią grządkę tulipanów?

Matisse rozklepywał rzeczywistość na płasko. Rozklepywał w ciągu 60 lat pracy — malarskiej roboty od rana do zmierzchu. Ale mimo, że pod tym cienkim i kruchym jak blaszka staniolu ekranem nie kryła się żadna filozoficzna głębia, czy symbolika — ekran nie był martwym, naciągniętym płótnem. Ukrywał za sobą — jak tarcza w zegarze — mechanizm, który go ożywiał — poruszał wskazówkami kolorowego zjawiska, śpiewał kurantem błękitu, dzwonił fioletem, bił gongiem czerwieni.

To nie krew, ani katalońska wściekłość Piccassa ożywiała matissowskie obrazy. Gdyby miały żyły i arterie, to płynęłoby nimi wino — czerwone francuskie wino.

Mimo, że związany całą swoją twórczością z południem Francji, Matisse stawiał pierwsze — dość nieśmiałe i konwencjonalne — kroki w najbardziej konserwatywnych paryskich pracowniach. Przez pewien czas malował u Bouguereau — malarza, który kopiował tylko własne obrazy, aby przenieść się wkrótce do pracowni Gustawa Moreau — który nauczył go kopiować obrazy z Luwru.

Moreau reprezentował ostatnie — wypaczone i dość wąsko pojęte tradycje malarstwa Delacroix. Jego orientalizm był literacki, a kolor — mimo że wyrafinowany i wzorowany na płótnach wielkiego romantyka — przygaszony i nieśmiały. O wiele większy był za to liberalizm Gustawa Moreau, który pozostawiał swoim uczniom wielką swobodę, nie narzucając własnego stylu.

W ciągu 10 lat Matisse wchłonął wszystkie dominujące wówczas we francuskim malarstwie wpływy. Punktem kulminacyjnym i decydującym dla jego kariery było przetworzenie tych różnorodnych kierunków w fauvizm.

Fauvizm nie był ani techniką, ani systemem estetycznym — była to reakcja grupy młodych malarzy: Matisse'a, Deraina, Vlamincka, Marqueta — przeciw wszechwładnie wówczas panującej technice impresjonizmu — hałaśliwe, prowokacyjne, brutalne odkrycie tej intensywności, żarliwości i siły jaką zawierały prowansalskie płótna Van Gogha, czy Cézanne'a — odkrycie południa.

Kto mógł być lepszym wzorem dla malarzy, którzy chcieli krzyczeć i szokować, jak nie Van Gogh. Wprawdzie Van Gogh dość powierzchownie pojęty: jego technika, a raczej brak techniki. Płomienista, niespokojna faktura obrazów Van Gogha, nieregularne strzępki farby otaczające przedmioty aureolą — może taką, jaką malarz oglądał w Arles na prymitywnych ludowych wizerunkach świętych — to było coś fascynującego dla malarzy wychowanych w pracowniach akademików.

Fauviści — „dzikie bestie" — to byli ludzie kulturalni, wyrafinowanie kulturalni — ich podziw dla wszystkiego, co wydawało się barbarzyńskie mógł powstać tylko w okresie przerostu i schyłku burżuazyjnej kultury. Matisse — najdziksza z dzikich bestii, był zarazem bestią najkulturalniejszą. Cézanne stanowił dla niego kontynuację tradycji Poussina i Chardina; w nawrocie Gaugina do prymitywu widział świeżą, muzyczną koncepcję malarstwa, operującego wielkimi dekoracyjnymi płatami czystego koloru; w Van Goghu podziwiał swobodę i ogromne możliwości ekspresji.

Fauvizm zdefiniował całą dalszą drogę Matisse'a, mimo że był tylko krótkim epizodem w jego karierze. Określił jej kierunek. Umiejscowił w zasięgu tej tradycji, która wytworzyła płótna Cézanne'a i Van Gogha — w zasięgu kultury śródziemnomorskiej — w basenie morza łacińskiego.

Można łatwo się dopatrzyć w miarę rozwoju sztuki Matisse'a tych wszystkich wpływów, które zlały się na jej końcowy, bardzo syntetyczny i lapidarny obraz. Podróże do Hiszpanii i Maroka i odkrycie sztuki mauretańskiej—bogatej geometrycznej i roślinnej ornamentyki, którą w pewnym momencie przeładowane są płótna Matisse'a. Wpływ wschodnich miniatur, płaskich, wielobarwnych, dekoracyjnych. Zachwyt nad egzotyką południowej roślinności — w ogrodach Tangieru, gdzie Matisse'a fascynowały fantastyczne drzewa akantu, których liście — skamieniałe w głowicach korynckich kolumn — odżyły na jego płótnach. Podziw dla piękna i bujności egzotycznych owoców, pojawiających się często jako tematyka martwych natur; podziw tak wielki, że będąc w ciężkich warunkach materialnych w Paryżu, ustawiał w zimie kosz takich owoców na celowo nieopalanym poddaszu, aby się nie psuły i mógł je całymi miesiącami w rękawicach i w palcie malować. Różnobarwne południowe ptaki, których upierzenie odkrywało najbardziej wymyślne i wyrafinowane zestawienia kolorystyczne (w późniejszych latach Matisse miał w domu całą olbrzymią ptaszarnię). Urok wczesnych fresków Giotta i Piero della Francesco. To wszystko przetopione w malarstwo fantastycznie barwne, w świat płaskich, uproszczonych, dekoracyjnych form — trzymanych w ryzach dyscypliny — bliskiej dyscyplinie Cézanne'a — tolerującej instynkt i nie sprowadzającej się do czysto naukowych formułek, tak modnych w tym okresie. Obraz dla Matisse'a to przede wszystkim „oeuvre du coeur" — więcej ma wspólnego z uczuciem niż z nauką.

Kontakt Matisse'a z rzeczywistością, z przedmiotem nie dopuścił malarza do krańców, do wynaturzeń, cechujących sztukę dwudziestych i trzydziestych lat. Było coś zdrowego w postawie Matisse'a, coś humanistycznego w tej konsekwentnej linii rozwoju, która zdawała się ideologom burżuazyjnym konserwatywna i wsteczna w okresie, gdy André Breton ogłaszał manifest surrealizmu. Gdy młodzi malarze zstępowali do studni podświadomości, Matisse był przykładem kontynuatora francuskiej tradycji, uparcie rozwijającego zdobycze postimpresjonizmu. Jego żywotność, romańska witalność, kult światła i koloru — to w porównaniu z ciemną, posępną, chorą filozofią surrealistów — apoteoza życia i radości.

„To co mnie interesuje najbardziej — pisał Matisse — to nie martwa natura, ani pejzaż, ale postać ludzka. Przez nią udawało mi się najlepiej wyrazić religijną niemal cześć jaką czuję do życia. Nie zatrzymuję się na szczegółach twarzy. Nie odtwarzam ich z anatomiczną dokładnością. — Dzieło sztuki musi zawierać samo w sobie całkowity sens i przekazać go odbiorcy, zanim nawet zdąży on odczytać jego tematykę. Gdy oglądam freski Giotta w Padwie, nie staram się rozpoznać jaką scenę z życia Chrystusa mam przed sobą, ale odbieram natychmiast uczucie, jakie sugeruje ta scena, uczucie, które przyjmuje instynktownie w jej kompozycji, w każdej kresce i w kolorze. Tytuł upewnia mnie tylko o moim wrażeniu".

Jest jedna treść w całym malarstwie Matisse'a — radość życia. Matisse nie wykracza właściwie poza ten ciągle powracający motyw przewodni całego swojego malarstwa. Dla wyrażenia tej treści udoskonala technikę, sprowadza ją do środków najbardziej lapidarnych, najbezpośredniej działających, najekonomiczniejszych. Głęboka wiedza o kolorze daje mu rzadką umiejętność budowania obrazów z barw najbardziej jaskrawych, ostrych i kontrastowych, nie burząc płaszczyzny płótna, nie dopuszczając, żeby jakiś fragment kompozycji wyskakiwał z płaskiej całości.

Krytycy niejednokrotnie starali się odgadnąć tę tajemnicę budowania obrazu. Matisse malował cały szereg wersji tej samej kompozycji, dochodząc w trakcie pracy do takiej, gdzie równowaga poszczególnych partii koloru była największa. Wykombinowano z tego całą teorię o obszarach agresywnego koloru, kontrastujących i podbijanych obszarami neutralnymi — obszarami spoczynku. Nie wyjaśniło to jednak tajemnicy obrazów Matisse'a. Nie wyjaśniło ekspresji jego kolorów.

Dynamiczne i rytmiczne kompozycje Matisse'a, pełne niespokojnej arabeski i zagmatwanego ornamentu, przeobraziły się pod koniec życia w zespoły form statycznych i bardziej zrównoważonych.

Pozycja Matisse'a w świecie kulturalnym Francji jest bardzo osobliwa. Nie angażując się bezpośrednio w społeczne przemiany swojego kraju i częściowo słusznie uznawany za wyrazicielа ideologii francuskiego mieszczaństwa, reprezentował jednocześnie w najbardziej burzliwym i przełomowym okresie stanowisko kontynuatora narodowej tradycji malarskiej XIX wieku. Udział Matisse'a w ruchu w Obronie Pokoju wypływał w sposób naturalny z jego postawy, którą przez całe życie cechowało umiłowanie najszlachetniejszych i najbardziej ludzkich wartości. O tym, że postępowa opinia publiczna Francji oceniła znaczenie jego twórczości, świadczyła wielka wystawa prac Matisse'a w roku 1950 zorganizowana przez Aragona w Maison de la Pensée Française.

Matisse jest ostatnim ogniwem zeszłowiecznej sztuki, nie wykracza tak jak jego największy rywal, a później największy przyjaciel — Picasso, w nowy okres społecznego malarstwa. Malarstwo Matisse'a to piękny, kolorowy zachód słońca; to barwny egzotyczny kwiat, na który patrzy się z całą świadomością jego piękna, ale zarazem z uczuciem jego nieużyteczności.

Parafrazując Heinego można by powiedzieć: to motyl wielki jak orzeł.

Jerzy Olkiewicz

STEFAN LICHAŃSKI

W obronie Sherlocka Holmesa

NAWIĄZUJĄC do zagadnień poruszonych przez Tadeusza Bielickiego w artykule „Kto zabił Ritę Croy"? Zbigniew Pędziński zapytuje: „A może warto?"*). Może warto zająć się powieścią kryminalną, zastanowić się nad jej prawem do istnienia, nad możliwościami jej rozwoju? Oczywiście, warto, powiada młody krytyk, a my słysząc to bijemy brawo. I cieszymy się, bo dziś już sytuacja powieści kryminalnej przedstawia się lepiej niż jeszcze przed rokiem: oto „Iskry" wznawiają znakomitego „Psa Baskerville'ów" Conan Doyle'a.

Pewnie, jedna jaskółka nie czyni jeszcze wiosny, a tym bardziej jeden pies. Na początek jednak dobre i to. „Kochany Watsonie", powtarzamy za Sherlockiem Holmesem ze łzą rozrzewnienia w oku... Kochany Watsonie, przybywaj, mężа i czyny opiewaj!

„Lecz wiozę, że mię ten liryzm zabija, że na Parnasu szczyt prowadzi stromy". Powracam więc do „rzeczonego wyżej" artykułu. Teraz jednak nie po to, aby autorowi bić brawo, lecz aby bić autora. Zacznę od sprawy najbardziej zasadniczej:

Pędziński nawiązuje do artykułu Bielickiego, ale z zastosowaniem metody kukułczego jaja, bo podrzuca od siebie kwestie w tamtym artykule wcale nie poruszane i przesuwa dyskusję na inny zupełnie krąg zagadnień, splatając pojęcie „literatura kryminalna" z pojęciami „literatura sensacyjna", „literatura brukowa", „literatura rozrywkowa" w jakąś dziwaczną zbitkę pojęciową, wobec której stoimy zupełnie bezradni, nie wiedząc, gdzie głowa, a gdzie ogon.

Pędziński mówi raczej o „skryminalizowaniu" literatury rozrywkowej w ogóle niż o samej powieści kryminalnej. Co gorsza, pisze on o tej powieści niczym Strug w swoim „Pieniądzu" o milionerach: na niewidzianego. Zalicza np. do „lepszej" literatury kryminalnej jednego z najgorszych jej przedstawicieli — Nasielskiego oraz Marczyńskiego, który tematykę kryminalną podejmował tylko przygodnie. W innym znów miejscu strzela takiego wspaniałego byka, że aż się zimno robi: „Próżno by za to szukać w powieściach Romańskiego lub Wallace'a człowieczeństwa bohaterów negatywnych — złego lub spaczonego niewątpliwie, ale przekonywającego przez swą prawdę psychologiczną". Jeden z najbardziej rasowych grafomanów, którzy kiedykolwiek brali się do pióra, Romański, pod rękę z wybitnym klasykiem romansu kryminalnego!

Wallace jako reprezentant najgorszego, najbardziej odhumanizowanego typu powieści kryminalnej! Przecież ów tak spostponowany przez Pędzińskiego Wallace bardzo dba o ukazanie człowieczeństwa swych negatywnych bohaterów. W *„Johnie Flacku"* przedstawia genialnego zbrodniarza, którego wszystkimi, do szaleństwa zuchwałymi poczynaniami kieruje pragnienie zdobycia majątku dla ukochanej córki, zgromadzenia dla niej takich bogactw, aby książęta ubiegali się o jej rękę. W *„White Face"* mamy znów historię angielskiego Judyma, dobroczyńcy biedaków i opiekuna dzieci w jednej z najuboższych dzielnic Londynu, który jest jednocześnie nieuchwytnym rabusiem klejnotów, „Białą twarzą". W *„The Frightened Lady"* znajdujemy kapitalny rysunek arystokratki gotowej popełnić każdą zbrodnię i nikczemność, byle tylko przedłużyć trwanie zdegenerowanego, skazanego na nieuchronną zagładę rodu Lebanonów; w powieści tej ostrość i celność arystokratycznej satyry idzie w parze z wysokogatunkowym realizmem psychologicznym rysunku postaci. Nie, z tym Wallacem trafił Pędziński jak kulą w płot.

Nie określiwszy dokładnie przedmiotu swoich rozważań autor walczy z niezlokalizowanym ściśle kompleksem literackich grzechów i przywar, używając terminów tak niejasnych, jak np. „krytykowana część literatury kryminalnej". Jaka „część"? Taka, w której Romański sąsiaduje z Wallacem i w której na prawach „kryminalistów honoris causa" znaleźli się także Dołęga-Mostowicz i Marczyński? A prócz tego: j a k krytykowana? — Przy pomocy argumentów z arsenału ciotek - intelektualistek (chodzi o ciotkę „jako wartość metafizyczną" — jak powiada Napierski — a nie o realne ciotki Zbigniewa Pędzińskiego): że to upadek obyczajów, że smak estetyczny zanika, że podstawy moralności się chwieją.

Pędziński pisał właściwie nie o żadnej „części" literatury kryminalnej, ale po prostu o pseudoliterackiej szmirze, apelującej do najgorszych gustów czytelnika. Nawet jednak, gdy wprowadzimy tę poprawkę, musimy stwierdzić, że: 1) zasadnicza słuszność jego wywodów jest słusznością truizmu, 2) jego kampania jest wojną z widmami, gdyż u nas tego rodzaju beletrystyki się nie wydaje, a zalew amerykańskiej szmiry pornograficzno - sensacyjnej nam nie grozi. Pędziński ma natomiast zupełną rację, gdy domaga się dobrej beletrystyki rozrywkowej, nie pozbawionej walorów wychowawczych i zdolnej wyprzeć z nieoficjalnego rynku czytelniczego resztki przedwojennej literatury sensacyjnej w stylu rozmaitych Nasielskich, Romańskich i innych Wotowskich, reprezentującej treści ideologiczne szkodliwe, a stojącej na bardzo niskim poziomie artystycznym. Niepotrzebnie jednak autor stworzył zwężającą zagadnienie sugestię posługując się znów nieopatrznie i mało precyzyjnie terminem „powieść kryminalna". Powinien był pisać artykuł postulujący, programowy o beletrystyce rozrywkowej, która przecież ma wiele odmian i nie da się utożsamić z literaturą kryminalną, gdybyśmy nawet traktowali to pojęcie jak najszerzej. Zamiast jednak zająć się sprawą jak najbardziej poważną i godną uwagi, Pędziński wolał gromić smętne resztki przedwojennej tandety sensacyjnej, co jest zajęciem równie sensownym, jak dorzynanie i tak już zdychającego osła. Miał Pan rację, rację, rację, Panie Zbigniewie, ale na dowodzenie takich racji szkoda sił i czasu.

A teraz pomówmy o literaturze kryminalnej „jako takiej". Pędziński skłonny jest przyznać jej prawo do istnienia tylko o tyle, o ile może się ona wylegitymować tym, co określa on ogólnikowo jako „wartości ideowo - artystyczne", nie precyzując jednak znowu dokładniej, co przez to określenie chce powiedzieć. Wspomina mimochodem o radzieckich powieściach kryminalnych, nie wymienia jednak ich tytułów, wobec czego nadal nie bardzo wiadomo, o co chodzi. Przypuszczam, że Pędziński ma na myśli rzeczy tego typu, co np. „Zbrodnia Cyryla Bersonowa" Lidina czy „Los dobosza" Gajdara, a więc utwory, które mimo ich kryminalnej osnowy należałoby zaliczyć raczej do literatury sensacyjno - dydaktycznej, gdyż kwestią najważniejszą nie jest w nich rozwiązywanie pewnej zagadki na temat „kto winien?", lecz zagadnienia stosunku jednostki do zbrodni jako faktu społecznego, zagadnienie z zakresu praktycznej moralności obywatelskiej. Jeżeli Pędziński myślał o zaaklimatyzowaniu u nas tej odmiany radzieckiej beletrystyki sensacyjno - dydaktycznej, popieram jego propozycję z całego serca.

A nawet nie tylko popieram, lecz także rozszerzam przypominając spopularyzowany przez R. L. Stevensona gatunek literacki, który nazwałbym moralitetem sensacyjnym, o osnowie bądź to symbolicznо - niesamowitej („Dr Jeckyll i Mr Hyde", „Diablik we flaszce"), bądź też kryminalnej („Diament radży", „Klub samobójców"). Kontynuatorem Stevensona w obu wspomnianych wyżej odmianach tego moralitetu sensacyjnego stał się G. K. Chesterton („Kula i krzyż", „Człowiek, który był Czwartkiem", opowiadania o ks. Brownie). Gatunek ten, którego proformę skłonny jestem widzieć w powieści Poego „Przygody Artura Gordona Pyma" oraz w niektórych jego groteskach (np. „Król mór", „Bon-Bon", „Nie zakładaj się nigdy z diabłem o swą głowę") — nie posiada może tej skuteczności oddziaływania społecznego co omówiona wyżej radziecka powieść sensacyjno - dydaktyczna. Istotny dla niego element igraszki intelektualnej oraz charakterystyczne przeplatanie realistycznego opisu motywami fantastycznymi bądź symbolicznymi pomniejsza jego komunikatywność, nadaje pewien odcień żartobliwego, na pół serio traktowania poruszanych zagadnień i w rezultacie czyni go lekturą raczej dla czytelnika - smakosza niż dla tych szerokich rzesz odbiorców książki, o które nam przede wszystkim chodzi, gdy dyskutujemy nad potrzebą rozwoju literatury rozrywkowej. Niemniej warto uwzględnić w naszych rozważaniach i propozycjach również ten nurt poważniejszej literatury sensacyjnej.

Zauważmy jednak, że oba scharakteryzowane poprzednio typy powieściopisarstwa sensacyjnego są czymś zupełnie odmiennym niż klasyczny romans kryminalny zainicjowany przez Poego w „Złotym żuku" i trylogii o Auguście Dupin, doprowadzony do perfekcji i spopularyzowany przez Conan Doyle'a i Gaborian, a kontynuowany następnie przez pierwszorzędnych majstrów tego gatunku, jak np. S. S. Van Dine, E. D. Biggers, Agata Christie, Dorothy Sayers, Rufus King. Nie będę się kusił o ustalenie własnej definicji tego rodzaju powieści, ale wezwę na pomoc słynnego teoretyka „krytyki naukowej" E. Hennequina. „W „Żuku" i w opowiadaniach kryminalnych — powiada on — zdołał Poe rozniecić zaciekawienie pozbawione wszelkich czynników emocjonalnych. Przyodziewa on w formę literacką tę zimną a tak silną w umysłach spekulatywnych rozkosz, jaką sprawia rozwiązanie jakiegoś zagadnienia geometrom, metafizykom i strategikom. Wyposażywszy swe postacie przenikliwością, potęgą rozumu i prawidłowością deduktywną, porucza im jakieś zagadnienie, każe im coś przedsiębrać, badać, mylić się aż do rozwiązania, które wystrzela w ich mózgu jako piorunujący cios logiczny. W tym dramacie mózgowym przedmiot badania nie większe ma znaczenie od stawki w partii szachów i zwiększa tylko zaciekawienie już istniejące. Jest oczywiste, iż wykrycie zabójcy w „Zbrodni przy rue Morgue" albo wykopanie skarbu kapitana Kidda są po prostu wabikami, które sprawiają, iż zapominając najzupełniej o wszystkim, podąża się śladem przedziwnych rozumowań i

(Dokończenie na str. 7)

*) Tadeusz Bielicki, „Kto zabił Ritę Croy?" (D. i J. nr. 37); Zbigniew Pędziński, „A może warto?" — raz jeszcze o „kryminałach" (D. i J. nr. 46).